Л. Думновъ

MAGAZYN NOWOŚCI

pod firmą

AU BONHEUR DES DAMES

PRZEZ

EMILA ZOLĘ.

TOM TRZECI.

WARSZAWA
Wydawnictwo Przeglądu Tygodniowego

1883.

Дозволено Цензурою
Варшава 6 Апрѣля 1883 г.

W Drukarni Przeglądu Tygodniowego, ulica Czysta № 2.

ROZDZIAŁ I.

Pewnego poniedziałku, 14 marca, Magazyn Nowości otworzył nowe swe składy, wielką wystawę nowości letnich, mającą trwać trzy dni. Na dworze wiał ostry wiatr, ludzie zdziwieni tym powrotem zimy biegli w zapiętych paltotach. — Jednakże z poza zamkniętych drzwi sąsiednich sklepów, przez szyby wielkie wzburzenie widać było; ukazywały się blade twarze kupców, liczących pierwsze powozy, jakie się zjeżdżały przed nowe paradne wejście od ulicy Neuve-Saint-Augustin. Drzwi te głębokie jak kruchta kościelna, ozdobione u góry grupą z symbolicznych figur Przemysłu i Handlu, podających sobie ręce pośród przeróżnych godeł, przysłonięte były ogromną markizą, której świeże złocenia, zdawały się oświecać chodnik, jakby blaskiem słońca. Na prawo i na lewo, ciągnęły się fasady, błyszczące jeszcze oślepiającą białością, skręcały się do ulicy Monsigny i Michodière, zajmowały całą wyspę oprócz strony od ulicy Dziesiątego Grudnia, gdzie Kredyt Nieruchomy miał rozpocząć budowle. Gdy

drobni kupcy wznosili oczy, spostrzegali oni wzdłuż całej linii tych koszarowych budynków, nagromadzenie towarów, przez szyby lustrzane, które od dołu do drugiego piętra, wpuszczały ogrom światła.—Te olbrzymie stosy, ten kolosalny bazar, zasłaniał im niebo i zdawało im się, że przyczynia zimna, od którego drżeli w głębi swoich sklepów.

Od szóstej godziny Mouret był na nogach i wydawał rozkazy. We środku, przed paradnemi drzwiami, szła galerya z końca w koniec i do niej przytykały dwie ciaśniejsze galerye Monsigny i Michodière. Podwórze oszklono i zamieniono na hallę, — żelazne wschody wznosiły się od dołu a mosty również żelazne były poprzerzucane z jednej strony na drugą, na obu piętrach. Inteligentny budowniczy, widocznie rozmiłowany w nowszych czasach, użył kamieni tylko do suteren i narożnych filarów, a cały szkielet zbudował z żelaza i podparł kolumnami, na których spoczęły belki oraz wiązanie dachu; tylko sklepienia podziemne i ściany wewnętrzne były z cegły. Wszędzie oszczędzano miejsca, powietrza i światła. Publiczność krążyła swobodnie pod śmiałemi łukami. Była to katedra nowożytnego handlu, mocna i lekka, zbudowana dla całej rzeszy klientek. — Na dole w centralnej galeryi, niedaleko drzwi, mieściły się krawaty, rękawiczki, jedwabie, galerya Monsigny zajęta była białym towarem i wyrobami ruańskiemi, galerya Michodière drobnym

i pończoszniczym towarem, suknem i wełnianemi tkaninami. Na pierwszym piętrze znajdowały się konfekcye, bielizna, szale, koronki, oraz inne nowe oddziały; drugie zaś piętro zachowano na pościel, dywany, materye meblowe, jako towary potrzebujące dużo miejsca i trudne do poruszania. Obecnie było trzydzieści dziewięć oddziałów, personel złożony z tysiąca ośmiuset osób, w której to liczbie było dwieście kobiet. Cała ludność roiła się w tych wysokich metalicznych nawach, odzywających się głośnem echem.

Jedyną namiętnością Moureta było: zwyciężyć kobietę. Chciał on ją widzieć królową w swoim magazynie i dla niej wzniósł tę świątynię, ażeby ją tam trzymać w swej zależności. Było to jego taktyką: upoić ją grzecznościami, frymarczyć jej pożądliwością i wyzyskiwać jej gorączkę. Dlatego dzień i noc myślał nad wynalezieniem nowych ponęt. Ażeby wątłym osobom oszczędzić trudu wschodzenia na drugie piętro, urządził dwie windy wybite aksamitem. Potem otworzył bufet, gdzie podawano darmo soki i biszkopty, również czytelnię, monumentalną galeryę, przystrojoną nader zbytkownie, gdzie się odważył nawet na wystawę obrazów. Lecz najgłębszym pomysłem jego było zwabianie matek, wolnych od światowych pretensyj, za pomocą ich dzieci; korzystał z każdej siły, spekulował wszystkiemi uczuciami. Zaprowadził oddział ubiorków dla chłopców i dziewczątek; zachęcał przechodzące mateczki,

ofiarując malcom obrazki i baloniki z cienkiej kauczukowej skórki, noszących na sobie wielkiemi literami wypisany adres magazynu. Owe cacka uwiązane na długiej nitce, bujały w powietrzu, unosząc po ulicy żywą reklamę.

Największą jego potęgą były wszelkiego rodzaju publikacye. Wydawał rocznie trzykroć sto tysięcy franków na katalogi, ogłoszenia i afisze. Przed sprzedażą letnich nowości, rozrzucił pomiędzy publicznością dwakroć sto tysięcy katalogów, z których pięćdziesiąt tysięcy wyszło za granicę, tłómaczonych na wszystkie języki. Obecnie kazał je illustrować sztychami i przyklejać na stronicach próbki towarów. Jego wystawy zalewały niejako elegancki świat. Magazyn Nowości rzucał się wszystkim w oczy, zalegał dzienniki, mury domów i zasłony teatralne. Miał on przekonanie, że kobieta jest bezsilną wobec reklamy i że rozgłos magnetycznie ją przyciąga. Zresztą zastawiał na nią jeszcze zręczniejsze sidła, analizując ją, jakby wielki moralista. Otóż zbadał, że kobieta oprzeć się nie może taniości; kupuje bez potrzeby, gdy się jej zdaje, że zrobi korzystny interes. Na tej zasadzie osnuł swój system obniżania cen; coraz taniej oddawał przedmioty niesprzedane, woląc je zbyć ze stratą, byleby ciągle odnawiać towary. Potem jeszcze głębiej sięgnął do serca kobiety; oto wymyślił „zwroty", arcydzieło obłudy jezuickiej. „Racz pani to wziąść, oddasz nam ten przedmiot, gdy ci się przestanie

podobać". Wahająca się jeszcze kobieta, znajdowała ostatnie usprawiedliwienie, w możności cofnięcia się, brała więc w zgodzie z sumieniem. Zwroty i obniżanie cen, weszły zatem w klasyczną działalność nowego handlu.

Lecz prawdziwym, niezrównanym mistrzem, okazywał się Mouret w wewnętrznem urządzaniu magazynów. Postanowił, jako prawo, żeby żaden kącik nie pozostawał pustym. Wszędzie chciał hałasu, tłoku, życia, dowodząc że życie przyciąga ku sobie, płodne jest i stwarza ruch. W rozmaity sposób stosował to prawo. Nasamprzód chciał, żeby była ciżba przy wejściu, aby z ulicy sądzono, że tam panuje zgiełk. Osiągnął ten cel mieszcząc przy drzwiach pudła i kosze z najtańszem towarem. W ten sposób ludek gromadził się bowiem i zagradzał próg, zkąd domyślano się, że magazyn trzeszczy od tłumu, chociaż czasami był w połowie pusty. Posiadał też sztukę ukrywania w galeryach oddziałów próżnujących, naprzykład szali w lecie, a płócienek w zimie; otaczał je oddziałami czynnemi i zatapiał w zamęcie. On sam wymyślił urządzenie na drugiem piętrze sal dywanów i mebli, mniej odwiedzanych przez klientki, gdyż obecność ich na dole, wytwarzałyby puste i zimne place. Gdyby mógł, pewnoby przeprowadził ulicę przez swój magazyn.

Właśnie znajdował się w tym czasie pod wpływem natchnienia. W sobotę wieczór, kiedy osta-

tnim rzutem oka obejmował przygotowania do wielkiej sprzedaży, która go od miesiąca zajmowała, przyszło mu naraz do głowy, że jego klasyfikacya oddziałów jest niedorzeczna, chociaż ściśle loiczna, tkaniny były bowiem po jednej stronie a konfekcye po drugiej, w tak rozumnym porządku, żeby się klientki oryentowały same, mając wszystko pod ręką. Marzył on o tym porządku niegdyś, w ciasnym sklepie pani Hédouin, a teraz uczuł się zachwianym, w dzień kiedy go urzeczywistnił. Nagle zawołał, że trzeba to wszystko przerobić: było jeszcze czterdzieści ośm godzin czasu, a szło o przeniesienie części magazynów. Służba sklepowa wśród zgiełku i zamętu, musiała spędzić dwie nocy i całą niedzielę, na ciągłych przeróbkach. Nawet w poniedziałek, na godzinę przed otwarciem magazynu, towary nie były jeszcze na właściwych miejscach.

— Pryncypał musiał zwaryować, nikt go nie rozumie, — mówili wszyscy w tym popłochu.

— Dalej! prędko! — wołał Mouret, ze spokojną wiarą w swój geniusz. Są tu jeszcze ubrania, które trzeba zanieść na górę... A Japonia czy już urządzona w centralnej sieni? Jeszcze jeden wysiłek, moje dzieci, za chwilę zobaczycie jaka to będzie sprzedaż!

Bourdoncle również tam się znajdował od świtu, nic nie rozumiejąc także, niespokojnym wzrokiem śledził pryncypała. Nieśmiał zadawać mu

pytań, wiedząc jak je przyjmuje w chwilach kryzysowych; jednakże odważył się rzec ostrożnie.

— Czy to było konieczne cały porządek odwracać, w przeddzień naszej wystawy?

W pierwszej chwili Mouret wzruszył tylko ramionami, nieodpowiadając; gdy zaś tamten nastawał, wybuchnął:

— Żeby się wszystkie klientki tłoczyły w jednem miejscu, prawda? To świetny pomysł geometryczny przyszedł mi do głowy. Nigdybym sobie tego nie darował. Publiczność byłaby zanadto skupiona. Kobieta weszłaby, zmierzyłaby wprost gdzie jej potrzeba, przeszłaby od spódnic do sukni, od sukni do płaszczyka i wyszłaby, nie błąkając się ani chwili. Żadnaby nie widziała naszych magazynów.

— Ale teraz kiedyś wszystko zburzył i rozrzucił po czterech rogach, subiekci nogi stracą, przeprowadzając klientki z oddziału do oddziału! — zauważył Bourdoncle.

Mouret znowu zrobił gest lekceważący.

— Cóż to szkodzi... młodzi są, urosną większi. Tem lepiej, że się będą przechadzać, bo powiększą tłok. Niech się tylko duszą ludzie, a wszystko dobrze pójdzie.

Śmiał się i raczył półgłosem tłomaczyć się ze swych pomysłów:

— Słuchaj Bourdoncle, jakie będą rezultaty... po pierwsze, klientki rozpierzchną się wszędzie będzie ich pewna ilość; powtóre, trzeba je będzie

przeprowadzać z jednego końca magazynu na drugi, jeżeli naprzykład będą chciały kupić podszewkę, nabywszy wpierwej materyał na suknię; te podróże po wszystkich kątach, w trójnasób powiększą w ich oczach obszar domu; po trzecie: zmuszone będą przechodzić przez oddziały, do którychby inaczej nie zaszły: pokusa je tam zwabi i ulegną jej: po czwarte...

Bourdoncle śmiał się z nim razem; w tem, zachwycony Muret przerwał z nim rozmowę, aby krzyknąć:

— Doskonale! moi przyjaciele! A teraz do mioteł i wszystko będzie skończone.

Odwróciwszy się, spostrzegł Dyonizę. Znaleźli się oni z Bourdonclem przed oddziałem konfekcyj, który podzielono na dwoje: suknie i kostiumy przeniósł na drugie piętro, w przeciwnym końcu magazynów. Dyoniza, która pierwszy raz zeszła na dół, zrobiła wielkie oczy, nie rozpoznając się, z powodu nowego urządzenia.

— Cóż to? — szepnęła — przenosiny?

To zdziwienie sprawiło widoczną przyjemność Mouretowi, rozmiłowanemu w teatralnych efektach. W pierwszych dniach lutego, Dyoniza wróciła do Magazynu Nowości i doznała miłego zadziwienia, gdyż wszyscy dla niej byli grzeczni, prawie czołobitni. Zwłaszcza też pani Aurelia, okazywała się uprzejmą; Małgorzata i Klara, zdawały się zrezygnowane; nawet ojciec Jouve, spuszczał głowę ze wstydem, jakby chcąc zatrzeć

przykre wspomnienie z przeszłości. Dość było, aby Mouret powiedział jedno słowo, wszyscy szeptali, śledząc ją oczami. Wśród tego ogólnego ugrzecznienia, drażnił ją tylko trochę szczególny jakiś smutek Deloche'a i niezrozumiałe dla niej uśmiechy Pauliny.

Mouret wciąż patrzył na nią z miną uradowaną.

— Czego pani szuka? — zapytał nakoniec.

Dyoniza nie spostrzegła go odrazu: zarumieniła się więc z lekka. Od czasu jej powrotu, dawał dowody dobroci, które ją bardzo wzruszały. Niewiedziała dla czego Paulina opowiada jej tak szczegółowo miłostki pryncypała z Klarą: gdzie się widują i wiele jej płaci; często wracała ona do tego przedmiotu, dodając jeszcze wiadomość, że ma drugą kochankę, tę panią Desforges, znaną dobrze w całym magazynie. Takie historye wzburzały Dyonizę; znów czuła się wobec niego zalęknioną i doznawała przykrego uczucia, walcząc między wdzięcznością a gniewem.

— Jaki tu zamęt, — wymówiła z cicha.

Wówczas Mouret, zbliżywszy się powiedział zniżonym głosem:

— Dziś wieczór po zamknięciu Magazynu, proszę przyjść do mego gabinetu. Mam z panią o czemś pomówić.

Zmieszana, skinęła głową, nie mówiąc ani słowa i weszła do oddziału, gdzie się schodziły inne sklepowe. Lecz Bourdoncle usłyszał co rzekł

Mouret i spoglądał nań z uśmiechem. Nawet odważył się powiedzieć mu, skoro zostali sami:

— Jeszcze ona! Strzeż się, może się to czemś seryo skończyć!

Mouret bronił się żywo, naciskając swoje wzburzenie lekkomyślnością.

— Bądź spokojny to żart tylko. Nie urodziła się jeszcze kobieta, którąby mogła mnie usidlić, mój drogi!

Ponieważ otwierano już magazyn, zerwał się, żeby po raz ostatni obejrzeć różne sale.

Bourdoncle kręcił głową; ta łagodna i skromna Dyoniza, zaczynała go niepokoić. Pierwszym razem zwyciężył, wydalając ją, ale się znów zjawiła i czuł, że się staje tak silną, że ją traktował jako niebezpiecznego przeciwnika i w milczeniu wyczekiwał pomyślnej chwili, jeżeli miała jeszcze kiedy nastąpić.

Mouret, którego dogonił, krzyczał na dole w halli Saint Augustin, naprzeciw paradnych drzwi:

— Czy sobie żartują ze mnie! kazałem zrobić szlak z niebieskich parasolek! Zrujnujcie mi to wszystko... natychmiast.

Nie chciał nic słuchać i gromada chłopców musiała przerobić wystawę parasolek. Widząc nadchodzące klientki, kazał na chwilę drzwi zamknąć i powtarzał, że wolałby nie otworzyć ich wcale, niż żeby były niebieskie parasolki w środku wystawy. To zabijało jego pomysł. Słynni wystaw-

cy: Hutin, Mignot i jeszcze inni, przyszli aby się przypatrzyć; lecz udawali, że nie rozumieją, będąc z innej szkoły.

Nakoniec otwarto podwoje i fala wpłynęła. Od pierwszej chwili, zanim się magazyn zapełnił, w przedsionku nastała taka ciżba, że trzeba było użyć policyi, ażeby przywróciła wolny ruch na chodnikach. Mouret nie omylił się w rachubie: wszystkie gosposie, całe gromady mieszczek i kobiet czepkowych, rzuciły się na tanie towary wystawione aż na ulicę. Ręce w powietrzu nieustannie macały wiszące u wejścia perkaliki po siedem sous, szaraczkowe wełnianki i bawełnianki po dziewięć sous, a szczególnie orlean po trzydzieści osiem centymów, który rabował ubogie sakiewki. Szturchano się plecami, gorączkowo popychano się przy kratkach i koszach, gdzie leżały koronki po dziesięć centymów, wstążki po pięć sous, podwiązki po trzy sous i rękawiczki z fil d'Ecosse. Spódniczki, kołnierzyki, krawatki, skarpetki i pończochy bawełniane, przewracały się, znikały, jakby pożarte przez tłum żarłoczny. Pomimo chłodnej pory, subiekci sprzedający na zewnątrz nie mogli podołać. Kobieta w poważnym stanie, straszliwie krzyczała; dwie dziewczynki tylko co nie zostały uduszone.

Przez cały ranek tłok się zwiększał. Około godziny pierwszej, uformowały się szeregi wyczekujące u wejścia, ulica była zagrodzona jak w czasie zamieszek.

Pani de Boves z córką Bianką, stały na chodniku po drugiej stronie ulicy, wahając się; po chwili nadeszła tam pani Marty z Walentyną.

— Co ludzi! — powtórzyła pani de Boves, — tam się chyba zabijają wewnątrz... Nie miałam przyjść, bom leżała w łóżku, ale wstałam, żeby użyć powietrza.

— Ja tak samo, — odrzekła pani Marty. Obiecałam mężowi, że pójdę odwiedzić jego siostrę w Montmartre, tymczasem, przechodząc przypomniałam sobie, że mi potrzeba sznurowadła. Wszystko jedno czy tu je kupię, czy gdzieindziej, nieprawda? Z pewnością nie wydam ani jednego sous. Zresztą niczego nie potrzebuję.

Jednakże nie spuszczały drzwi z oczu; były jakby porwane i niesione wirem tłumu.

— Nie, nie, nie wejdę, boję się; — szeptała pani de Boves — Bianko, odejdźmy ztąd, zmiażdżą nas.

Lecz głos jej słabł, powoli ogarniała ją chęć wejścia tam, gdzie inni dążą i obawa jej topniała w nieprzepartym uroku tłoczenia się. Pani Marty również dała się pociągnąć, ciągle powtarzając:

— Trzymaj się mojej sukni, Walentyno. Jak żyję, nie widziałam nic podobnego! Jest się unoszoną w powietrze. Co się to dziać musi wewnątrz!

Damy te porwane przez prąd, nie mogły się już cofnąć. Jak rzeka przyciąga do siebie stru-

mienie płynące w dolinie, tak się zdawało, że fale klientek, płynące do westibulu, wabią do siebie przechodniów, przyciągając ludność, z czterech stron Paryża. Zwolna posuwały się naprzód tak ściśnięte, że tchu im brakowało i podtrzymywane parciem ramion i brzuchów, których ciepło czuć im się dawało; zadowolone, że się tam znajdują, rade były z tego utrudnionego przystępu, który jeszcze podniecał ich ciekawość.

Była to mieszanina dam strojnych w jedwabie, mieszczek w skromnych sukienkach i dziewcząt z gołemi głowami, a wszystkie były porwane tą samą namiętnością. Niewielka liczba mężczyzn ginęła pomiędzy damami, rzucając niespokojne wejrzenia. Mamka, w największej ciżbie, wysoko podnosiła do góry dziecko, śmiejące się radośnie. Jedna tylko chuda kobiecina, gniewała się, wymyślając od brzydkich słów sąsiadce, że ją przygniata.

— Zdaje mi się, że chyba tu pozostanie moja spódnica, rzekła pani de Boves.

Pani Marty, milcząca, z twarzą zarumienioną jeszcze od ostrego powietrza, podnosiła się na palcach, żeby pierwej od innych ponad głowami coś ujrzeć i zmierzyć głąb magazynów. Źrenice szarych jej oczu były wązkie jak u kotki przybywającej z pełni światła. Zdawało się, że nic nie rozróżnia. Miała ona spokojną cerę i oczy bez wyrazu, osoby budzącej się ze snu.

— Ach, nakoniec! — odezwała się wzdychając.

Damy nasze wyswobodziły się z tłumu. Znalazłszy się w halli Saint Augustin, z wielkiem zadziwieniem ujrzały, że jest prawie pustą; lecz opanowało je błogie uczucie: zdawało im się, że są wśród wiosny, po przejściu z ulicznej zimy. Kiedy nazewnątrz szumiał jeszcze wiatr lodowaty, padał deszcz z gradem, w galeryach Magazynu, miłe ciepło pięknej pory roku, wydzielało się z lekkich materyj i z blasku ich delikatnych odcieni, z parasolek i sukien letnich, przypominających sielskie przyjemności.

— Patrzcie! — wykrzyknęła pani de Boves, stając jak wryta, z oczami do góry wzniesionemi.

Była to wystawa parasolek. Wszystkie roztwarte, wydęte jak puklerze, okrywały całą hallę, od oszklonego sufitu, aż do boazeryi z lakierowanego dębu. Dokoła arkad górnych piętr, tworzyły festony; wzdłuż cienkich kolumn spływały wieńcami; na balustradzie galeryi, aż do poręczy wschodów, ciągnęły się w ścieśnionych szeregach; wszędzie zaś ułożone symetrycznie, pstrzyły ściany barwą czerwoną, zieloną i żółtą, przypominając wielkie weneckie latarnie, zapalone z powodu wyjątkowej uroczystości. Po kątach były z nich ozdoby skomplikowane: gwiazdy ułożone z parasolek po trzydzieści dziewięć sous, których barwy bladoniebieskie, białe, *crême*, bladoróżowe, naśladowały niejako słabe światło, lampek nocnych; w górze zaś ogromne japońskie parasole, na których żórawie złotego koloru, latały pod

purpurowem niebem, pałały jak odblaski pożaru.

Pani Marty szukała frazesu dla wyrażenia swego zachwytu, lecz zdobyła się tylko na wykrzyk:

— To czarodziejski widok!

Potem chcąc się zoryentować, rzekła:

— Sznurowadła są w oddziale drobnych towarów... kupię sznurowadło i ucieknę.

— Będę pani towarzyszyła — powiedziała pani de Boves.—Prawda, Bianko, przejdziemy się tylko przez sale.

Lecz zaraz u wejścia te panie nie wiedziały gdzie się zwrócić, udały się na lewo, lecz ponieważ przeniesiono drobny towar, trafiły do garnirunków, potem do strojów. Pod galeryami było bardzo gorąco, panował tam upał oranżeryjny, wilgotny i duszny, przepełniony mdłym zapachem tkanin, który głuszył kroki, krążącej publiczności. Powróciły potem do drzwi, gdzie się już utworzył prąd wychodzących: nieskończona defilada kobiet i dzieci, pod obłokami z czerwonych baloników, których przygotowano czterdzieści tysięcy i oddzielną służbę wyznaczono do ich rozdawania. Wychodzące klientki, napełniły powietrze, jakby tysiącem baniek mydlanych, uwiązanych na końcach niewidzialnych nitek, w których odbijał się pożar parasolek. Magazyn cały wydawał się być uiluminowany.

— To osobny świat — zawyrokowała pani de Boves — człowiek tu błąka się, nie wiedząc gdzie się znajduje.

Jednakże panie te nie mogły pozostawać przy drzwiach, gdzie je ciągle popychano, wśród dwóch prądów: przychodzących i wychodzących osób. Szczęściem inspektor Jouve, zjawił się na pomoc. Stał on w przedsionku poważny i czujny, przyglądając się każdej kobiecie, co wchodziła. Mając powierzoną sobie wewnętrzną policyę, węszył złodziejki i najbardziej wpatrywał się w kobiety ciężarne, których gorączkowe oczy go niepokoiły.

— Panie chcą dojść do drobiazgów? Proszę zwrócić się na lewo... po za wyroby pończosznicze.

Pani de Boves podziękowała; a pani Marty obróciła się i nie znalazłszy córki obok siebie, przelękła się bardzo, lecz po chwili spostrzegła ją daleko, na końcu halli Saint Augustin, wpatrzoną w stół propozycyj, na którym leżały stosy damskich krawatek po dziewiętnaście sous. Mouret wprowadził propozycyę towarów z wymienianiem ceny. W ten sposób zachęcano klientkę i rabowano ją; używał on bowiem wszelkich reklam, śmiejąc się z dyskrecyi swoich współbraci, utrzymujących, że towar powinien sam za siebie mówić.

— Patrz mamo na te krawatki z haftowanym ptaszkiem — szepnęła Walentyna.

Subiekt wychwalał towar, przysięgał, że jest z czystego jedwabiu, że fabrykant zbankru-

tował, że się już nigdy nie zdarzy podobna okazya do kupna.

— Dziewiętnaście sous, czy podobna! — rzekła pani Marty, zachęcona również jak córka.—Śmiało mogę wziąść dwie, przecież to nas nie zrujnuje.

Pani de Boves patrzyła na to wzgardliwie. Nienawidziła ona propozycyj i uciekała od zapraszającego subiekta. Pani Marty zaś, nie pojmowała jej nerwowego wstrętu, mając inną naturę. Była ona z liczby tych szczęśliwych kobiet, które lubią być zmuszane i rozkoszują się sposobnością, że wszystkiego mogą się dotknąć i czas na czczej gadaninie tracić.

— Teraz idźmy prędzej po sznurowadło... Niechcę już nic więcej widzieć.

Jednakże przechodząc przez salę fularów i rękawiczek, uległa znów pokusie. Pod rozpierzchłem światłem były tam wystawione towary w jaskrawych i wesołych kolorach, sprawiające prześliczny efekt. Kontuary ustawione symetrycznie, wyglądały jak grzędy kwiatowe, robiąc z halli parter francuzki, uśmiechający się gamą pięknych kwiatów. Na gołych stołach, w otwartych pudłach, wyjętych ze zbyt pełnych przegródek, widać było cały zbiór fularów: mocno czerwone jak geranium, mleczno białe jak petunje, złocisto żółte jak chryzanty, niebieskie jak werbena; a wyżej na drucianych prętach, układały się w wieńce; chusteczki niedbale zarzucone, rozwinięte wstążki, cały jaskrawy sznur, który się

przeciągał, piął się po kolumnach i odbijał w lustrach. Lecz co najwięcej podbudzało tłumy, były to rękawiczki: szalet szwajcarski złożony z samych rękawiczek; arcydzieło Mignota, które zabrało mu dwa dni czasu. Naprzód czarne rękawiczki, tworzyły parter, potem szły paliowe, rezeda, *sang de boeuf*, rozłożone dekoracyjnie, okalając okna, oznaczające balkony, zastępując dachówki.

— Czego pani sobie życzy? — spytał Mignot, widząc że pani Marty jak wrytą stała przed szaletem, — oto są szwedzkie rękawiczki po franku sześćdziesiąt pięć centimów, najpierwszy gatunek.

Był on zawziętym w swoich propozycyach, przywoływał przechodzące damy, uprzykrzał im się grzecznością. Gdy pani Marty odpowiedziała przeczącym ruchem głowy, ciągnął dalej:

— Rękawiczki tyrolskie po franku dwadzieścia pięć centimów; rękawiczki z Turynu dla dzieci; rękawiczki haftowane wszystkiemi kolorami.

— Nie, dziękuję panu; nie potrzebuję niczego— odrzekła.

Czując, że głos jej mięknie, zaatakował silniej; podawał jej pod oczy rękawiczki haftowane; wówczas uległa nakoniec i kupiła jedną parę, lecz zaczerwieniła się, spostrzegłszy panią de Boves patrzącą z uśmiechem.

— Jakie ze mnie dziecko! Jeżeli nie pośpieszę teraz po sznurowadło i nie ucieknę... jestem zgubioną...

Na nieszczęście przy drobiazgach taki był tłok, że się nie mogła dostać do nikogo. Obie z córką czekały już z dziesięć minut, zaczęły się niecierpliwić, lecz w tej chwili weszła pani de Bourdelais, z trojgiem dzieci. Ze spokojną miną pięknej i praktycznej kobiety, zaczęła się ona tłómaczyć, że chce dziatwie pokazać wystawę. Magdalena miała lat dziesięć, Edmund osiem, a Lucyan cztery; śmiała się dziatwa radośnie, była to zabawa niekosztowna, którą im oddawna obiecywano.

— Oryginalne są te parasolki, muszę kupić czerwoną — odezwała się nagle pani Marty, drepcąca z niecierpliwości, że nie kupuje i że tak długo stoi, nic nie robiąc.

Wybrała parasolkę za czternaście franków pięćdziesiąt centimów;—pani Bourdelais śledząca jej kupno wzrokiem nagany, powiedziała przyjaźnie:

— Niepotrzebnie pani się pośpieszyłaś; za dwa tygodnie dostałabyś ją za dwanaście franków... O! mnie z pewnością nie skuszą!

Rozwinęła przed nią teoryę dobrej gospodyni:

— Ponieważ magazyn obniża ceny — rzekła. — więc najlepiej czekać. Co do mnie, nie chcę być wyzyskiwaną; wolę sama korzystać z ich okazyj. Lubię nawet żartować sobie w ten sposób, że im nigdy nie dam zarobić ani grosza.

— Obiecałam dzieciom pokazać obrazki w salonie na górze, chodź pani więc ze mną, przecież masz czas wolny.

Sznurowadło poszło w zapomnienie: przystała odrazu. Lecz pani de Boves, niechciała im towarzyszyć, zamierzając obejść parter. Zresztą te panie miały nadzieję spotkać się z sobą raz jeszcze na górze. Pani Bourdelais, szukając wschodów, spostrzegła windę, pchnęła więc w tę stronę dzieci, żeby im sprawić i tę rozrywkę. Pani Marty z Walentyną również weszły do ciasnej klatki, gdzie im było bardzo nieprzestrono, ale lustra, aksamitne ławeczki, drzwiczki cyzelowane z miedzi, zajmowały je do takiego stopnia, że przybyły na pierwsze piętro, nie czując łagodnego poruszania się maszyny. Tam oczekiwała je inna uczta: poczynając od pierwszej galeryi. Przechodząc koło bufetu, pani Bourdelais nie omieszkała napoić dziatek wodą z sokiem. Była to kwadratowa sala z szerokim kontuarem, po dwóch końcach którego fontanny wyrzucały w górę cienki strumień srebrzystej wody;—z tyłu na stolikach stały butelki. Trzech posługaczy bezustanku obcierało i napełniało szklanki. Spragniona klientela szeregiem przechodziła koło baryery obitej aksamitem, aby tam się dostać; zupełnie jak przy drzwiach teatru. Tłum dusił się; niektóre osoby raczyły się bez skrupułów temi bezpłatnemi łakociami, aż do niestrawności.

— Gdzież się one podziały? — zawołała pani Bourdelais gdy się wyswobodziła ze ścisku i obtarła dzieciom spocone twarzyczki.

Ale spostrzegła pani Marty wraz z córką Walentyną daleko w głębi drugiej galeryi; obie zatopione w stosach spódnic, wciąż kupowały. Skończyło się na tem, że zginęły; porwane gorączką wydawania pieniędzy.

Kiedy nakoniec pani de Bourdelais weszła do sali czytelni i korespondencyi, posadziwszy dzieci przy wielkim stole, poszła dla nich do szafy po album z fotografiami. Sklepienie podłużnej sali było złożone po dwu stronach monumentalnego komina, obrazy miernej wartości w pysznych ramach złoconych okrywały ściany. Pomiędzy kolumnami, przed każdą arkadą wiodącą do magazynów, stały wysokie rośliny w wazonach z majoliki. Milcząca publiczność okalała stół, na którym znajdowały się przeglądy, dzienniki, kałamarze i przybory do pisania. Kobiety zrzuciwszy rękawiczki pisały listy na papierze z firmą magazynu, którą przekreślały jednym pociągiem pióra, kilku mężczyzn rozłożonych na fotelach czytało dzienniki. Było także wiele osób pozostających bezczynnie: mężowie wyczekujący na żony zabłąkane pomiędzy oddziałami, młode kobiety dyskretnie wypatrujące przybycia kochanka; starzy rodzice, których pozostawiono jak płaszcze w kontramarkarni, żeby odchodząc zabrać ich z sobą. Cała ta publiczność rozsiadłszy się wygodnie, spoglądała przez otwarte arkady w głąb galeryi i hall, zkąd dochodziły dalekie głosy, mieszając się ze skrzypieniem piór i szelestem gazet.

— Aa, to pani! — zawołała pani Bourdelais — nie poznałam...

Tuż obok dzieci jakaś dama kryła twarz w stronicach jednego z przeglądów:—była to pani Guibal, widocznie wcale nierada ze spotkania. Opamiętawszy się prędko, zaczęła opowiadać, że weszła na chwilkę, by wypocząć od tłoku. Gdy pani Bourdelais zapytała się, czy robi sprawunki, odpowiedziała ze swą omdlewającą miną, kryjąc pod powiekami ostrość egoistycznego wejrzenia:

— O! nie... owszem, przychodzę zwrócić spódnicę i portierę, z których nie jestem zadowoloną, tylko z powodu tłumu, muszę czekać, ażeby znaleźć przystęp do kontuaru.

Zaczęła chwalić system zwrotów, jako bardzo dogodny.

— Pierwej — rzekła — nigdy nie kupowałam; a teraz ulegam czasami pokusie. Co prawda na pięć wziętych przedmiotów oddaję cztery, znaną jestem we wszystkich salach z powodu tych ciągłych zmian, zdaleka już mię czują bom zawsze niezadowolona. Odnoszę każdy sprawunek, przetrzymawszy go dni kilka.

Rozmawiając, nie spuszczała z oka drzwi od sali i odetchnęła swobodniej, gdy pani Bourdelais zwróciła się do dzieci, aby im objaśniać fotografie. Prawie w tejże chwili weszli pan de Boves i Valagnoc. Hrabia, który udawał, że chce pokazać towarzyszowi nowe magazyny, zamienił z nią

znaczące spojrzenie; poczem pogrążyła się znowu w czytaniu, jak gdyby ich niewidziała.

— To ty, Pawle!—odezwał się ktoś niespodzianie po za plecami tych panów.

Był to Mouret, robiący przegląd magazynów, przywitawszy się, zapytał natychmiast:

— Czy pani de Boves zaszczyciła nas swem przybyciem?

— Nie—odpowiedział hrabia—i mocno tego żałuję. Jest niezdrowa, ale nic ważnego...

Nagle, udał jakby tylko co spostrzegł panią Guibal; zbliżył się więc do niej, zdjąwszy kapelusz; tamci zaś dwaj, ukłonili jej się zdaleka. — Ona również udała zdziwienie. Paweł uśmiechał się ukradkiem; zrozumiał on nakoniec i opowiedział po cichu Mouretowi, w jaki sposób hrabia, którego spotkał na ulicy Richelieu, starał mu się wymknąć i skończył na tem, że go zabrał do Magazynu Nowości pod pozorem, że koniecznie trzeba go obejrzeć. Od roku ta pani wyciągała i od niego ile tylko mogła najwięcej pieniędzy i przyjemności. Nigdy nie porozumiewała się z nim na piśmie, lecz naznaczała schadzki w publicznych miejscach: w kościołach, muzeach i sklepach.

— Zdaje mi się, że każda schadzka odbywa się w innym hotelu — szepnął Paweł. — W czasie ostatniego objazdu inspekcyjnego, pisywał do żony co trzeci dzień: z Blois, z Libourne, z Tarbes, a przysiągłbym, żem go widział wchodzącego do pewnego zakładu prywatnego w Batignolles.

Patrz! czy nie jest piękny, stojąc tak przed nią, z całą powagą wysokiego urzędnika! Stara Francya, mój przyjacielu, stara Francya!

— A cóż twój ślub, zawsze trwasz w zamiarach?

Nie spuszczając z oka hrabiego, odpowiedział Paweł, że ciągle czekają śmierci ciotki. Potem z tryumfującą miną szepnął:

— Widziałeś? Nachylił się, żeby jej wsunąć w rękę adres, który przyjęła z niewinną miną... okropna to kobieta, z tą delikatną rudą główką i chłodnem napozór usposobieniem! Nie ma co mówić, piękne rzeczy dzieją się u ciebie!

— Te damy nie są tu u mnie, lecz u siebie — odrzekł Mouret.—Potem zaczął żartować. — Miłość ma podobieństwo jaskółek, przynosi domowi szczęście. Znam te dziewczęta snujące się tu po salach i damy spotykające przypadkiem przyjaciela, ale chociaż nic nie kupują, zawsze powiększają liczbę klienteli i ożywiają magazyn. Rozmawiając pociągnął z sobą przyjaciela, postawił go na progu salonu, naprzeciw wielkiej centralnej galeryi, której szereg hall, widać było pod ich stopami. Po za nimi w salonie, panowała ciągle taż sama cisza, przerywana tylko nerwowem skrzypieniem piór i szelestem dzienników. Jakiś stary jegomość usnął nad „Monitorem"; pan de Boves przypatrywał się obrazom, z wyraźną chęcią zgubienia przyszłego zięcia wśród tłumu. — Tylko pani Bourdelais pośród tego spokoju, za-

bawiała dzieci bardzo głośno, jakby zwycięzca w zawojowanym kraju.

— Jak widzisz, są u siebie; — powiedział Mouret, wskazując szerokim gestem na tłum kobiet, od którego trzeszczały sale.

Właśnie w tym czasie pani Desforges, która omal co nie zostawiła płaszczyka w tłoku, wcisnęła się nakonieo i przechodziła przez pierwszą halę. Potem wstąpiwszy do wielkiej galeryi, podniosła w górę oczy; była to jakby nawa dworca kolei żelaznej, otoczona balustradą dwóch piętr, przerżnięta przez wschody i wiszące mosty. Żelazne wschody w dwa zagięcia zakreślały śmiałe łuki; żelazne mosty zawieszone w powietrzu, ciągnęły się w równej linii bardzo wysoko. Wszystkie te żelazne konstrukcye, przy białym blasku oszklenia, przedstawiały lekką strukturę, koronkę skomplikowaną, przez którą przeciskało się światło. Było to nowożytne urzeczywistnienie tworu wyobraźni, wieży Babel o piętrach bez liku, z rozległemi salami, z otwartym widokiem na inne piętra i inne sale. Zresztą wszędzie panowało żelazo; młody budowniczy posiadał tyle uczciwości i odwagi, że go nigdzie nie zamalował, naśladując kamień lub drzewo. Na dole, aby nie robić ujmy towarom, dekoracye były skromne, po większej części szarej barwy; potem w miarę jak się wznosiły w górę, wiązania metalowe i kapitele kolumn stawały się ozdobniejszemi, zagięcia tworzyły kwiaty, podpory ganków i belek okryte były

rzeźbą. Na górze wreszcie, błyszczały malowania, barwy zielone i czerwone jaśniały wśród bogatych złoceń, aż do przejrzystego dachu, którego oszklenie było emaliowane i pokryte złoconem rytowaniem. Pod krytemi galeryami, zewnętrzne cegły sklepień były również emaliowane w jaskrawe kolory. Mozaika i fajans składały się na rozweselenie fryzów, a świeże odcienia kolorów, rozjaśniały surowy ton całości. Wschody z poręczami z ponsowego aksamitu ozdobione były kratą żelazną wyrzynaną i polerowaną, błyszczącą jak stal zbroi.

Pani Desforges znała już to nowe urządzenie, była jednak w uniesieniu na widok ruchu ożywiającego w ten dzień ogromną nawę. Na dole do koła niej, ciągle roiły się tłumy, podwójny prąd wchodzących i wychodzących dawał się uczuć i w oddziale jedwabi i wśród tłoku, popołudniu coraz częściej zjawiały się damy pomiędzy mieszczkami i gosposiami. Było wiele kobiet w grubej żałobie z długiemi czarnemi woalami; najniepotrzebniej zabłąkane mamki broniły swych niemowląt potężnemi łokciami. To morze różnobarwnych kapeluszy, jasnych i ciemnych głów, przepływało galeryę w nieładzie, wydając się blade, wobec migocących połysków materyj. Pani Desforges widziała wszędzie tylko wielkie etykiety z ogromnemi cyframi, które jak plamy odbijały na różnobarwnych milionach, na błyszczących jedwabiach i ciemnych wełnianych tka-

ninach. Stosy wstążek wznosiły się po nad głowy, ściana flaneli wysuwała się naprzód jak półwysep, po za którym huczało inne morze. Wszędzie lustra przedłużały magazyny do nieskończoności, odbijały one wystawy z częścią publiki, jednoczeście na prawo i na lewo, boczne galerye otwierały widok na zagłębienia ze śnieżno białym towarem na centkowane głębie wyrobów pończoszniczych, oddalone i zasilane tylko światłem niektórych arkad oszklonych, gdzie tłum zdawał się zbitym pyłem. Spoglądając w górę, słyszała pani Desforges wzdłuż wschodów, na wiszących mostach, około każdej poręczy, na wszystkich piętrach, nieustanne stąpanie w powietrzu i szmer całej ludności, snującej się pośród ogromnego wiązania metalowego, odbijający czarnemi konturami, na rozpierzchłem świetle szyb emaliowanych. Ogromne żyrandole spuszczały się z góry, rozpięte dywany, haftowane jedwabie, materye wyszywane złotem spadały, okrywały balustrady jakby jaskrawe chorągwie; od końca do końca panował w galeryi jakby przelot koronek, drganie muślinów, trofea jedwabne, apoteoza manekinów nawpół ubranych; a po nad tą mieszaniną u samej góry, oddział pościeli, jakby zawieszony w powietrzu, wystawiał na widok łóżeczka żelazne z materacami, pod białą firanką; była to sypialnia pensyonarek drzemiąca pośród dreptania klienteli, coraz cichszego, w miarę jak piętro było wyższe.

— Może pani sobie życzy tanich podwiązek?— zapytał subiekt panią Desforges, widząc, że stoi nieruchoma. — Czysto jedwabne, po dwadzieścia dziewięć sous.

Nie raczyła odpowiedzieć. Naokoło niej piszczały propozycye coraz natarczywiej. Zaczęła się jednak oryentować: kasa Alberta Lhomme była od niej na lewo; znając ją z widzenia, pozwalał sobie na uprzejmy uśmiech, wcale się nie spiesząc, pomimo oblegającej go fali faktur. Po za nim Józef potniał nad pudłami i szpagatem, nie mogąc nadążyć z pakowaniem kupionych przedmiotów. Zmiarkowała nakoniec, że jedwabie muszą być nawprost niej; — ale upłynęło dziesięć minut, zanim tam doszła z powodu zwiększającego się ciągle natłoku. W powietrzu mnożyły się czerwone baloniki; uwiązane na niewidzialnych nitkach, tworzyły one obłok purpurowy, kierowały się zwolna ku wychodowi i rozpraszały się ciągle po Paryżu; — pani Desforges zmuszoną była uchylić głowę pod lotem baloników, kiedy bardzo małe dzieci trzymały je, okręciwszy sobie nitkę koło rączek.

— Jakto! pani się odważyła? — wykrzyknął wesoło Bouthemont, ujrzawszy panią Desforges.

Naczelnik kantoru, wprowadzony przez samego Moureta, bywał u niej teraz czasami na herbacie. Wydawał jej się wprawdzie pospolity, ale bardzo miły, z przyjemnym sangwinistycznym humorem, który ją zadziwiał i bawił. Zresztą

onegdajszego wieczoru, opowiedział jej bez ceremonii miłostki Moureta z Klarą, nie z wyrachowania, lecz przez głupotę nieokrzesanego, ale lubiącego się zabawić chłopca. Opanowana zatem przez zazdrość, pokrywając tę ranę wzgardą, udała się do magazynu, żeby dojść, która to z dziewcząt, gdyż powiedział jej tylko, że to jedna z panien od konfekcyj, niechcąc wymienić nazwiska.

— Czy pani sobie czego życzy?—zapytał.

— Naturalnie, inaczej nie byłabym przyszła... Macie panowie fulary na spacerowe suknie?

Obiecywała sobie, że się dowie od niego nazwiska owej panny, którą koniecznie chciała zobaczyć. Natychmiast przywołał Faviera, poczem zaczął z nią rozmowę, czekając nadejścia subiekta, kończącego obsługiwać klientkę, właśnie „ładną panią”, ową piękną blondynkę, o której czasami cały oddział rozmawiał, nic o niej nie wiedząc, nawet nazwiska. Kogo straciła; męża czy ojca? Pewno nie ojca, bo wyglądałaby smutniej. Dla czegoż mówiono, że to kokotka, kiedy widać miała prawdziwego męża? Chyba że to żałoba po matce. Pomimo nawału pracy; przez kilka minut cały oddział udzielał sobie tych przypuszczeń.

— Spieszże się pan... ależ to nieznośne... — zawołał Hutin na Faviera, który był właśnie odprowadził swoją klientkę do kasy. — Jak się ta dama zjawi, to pan bez końca nią się zajmujesz, a ona kpi sobie z pana...

— Nie tyle co ja z niej, w każdym razie, odrzekł obrażony subiekt.

Hutin zagroził, że go zaskarży przed dyrekcyą, jeżeli będzie lekceważył klientki. Stawał się groźny, surowy, prześladujący, odkąd się oddział zmówił, by mu zapewnić miejsce Robineau. Taki był nawet nieznośny, pomimo świetnych obietnic, jakiemi łudził przedtem kolegów, że teraz pocichu popierali Faviera przeciwko niemu.

— Proszę nieodpowiadać, — rzekł znowu Hutin szorstko, — Bouthemont żąda od pana fularów w najjaśniejszych kolorach.

W pośrodku sali wystawa letnich jedwabi rzucała dokoła blask jakby ukazującej się zorzy, słońca wschodzącego w najdelikatniejszych odcieniach światła, a był to bladoróżowy kolor, jasnożółty, niebieskawy, jednem słowem wszystkie kolory tęczy.

Były fulary cienkie jak mgła, surahs lżejszy od puszku, ulatającego z drzew, iskrzące miękkie pekiny, giętkie jak skóra chińskiej dziewicy, japońskie *pongées*, indyjskie *tussores* i *corahs*, nie licząc francuzkich lekkich jedwabi w tysiączne prążki, w drobne kratki, w kwiaty i różne fantazyjne desenie, których widok przypominał damy w falbanach, przechadzające się w jasne majowe dnie, pod wielkiemi drzewami parku.

— Wezmę ten... Louis XIV, w bukiety z róż; rzekła nakoniec pani Desforges.

Podczas gdy Favier mierzył, raz jeszcze spróbowała zbadać Bouthemonta, stojącego przy niej.

— Pójdę do konfekcyj, poszukać podróżnego płaszczyka. Czy ta panna, o której mi pan opowiadałeś, jest blondynką?

Naczelnik oddziału, zaniepokojony jej naleganiem, uśmiechnął się tylko. Ale właśnie Dyoniza przechodziła. Oddała ona Liénardowi przy merynosach panią Boutarel, ową damę z prowincyi, która przybywała dwa razy na rok do Paryża, żeby strwonić w Magazynie Nowości pieniądze oszczędzone na gospodarstwie. Ponieważ Favier brał już fular pani Desforges, Hutin myśląc go tem rozdrażnić, — rzekł:

— Nie chodź pan, ta panna będzie tak grzeczną że zaprowadzi panią.

Dyoniza zmieszana wzięła paczkę i rachunek. Ile razy spotkała się z tym młodzieńcem, zawsze przejmował ją wstyd, jak gdyby przypomnienie jakiegoś błędu z przeszłości. Jednakże grzeszyła tylko wyobraźnią, a nawet nie wiedziała naprawdę, czy była to miłość; serce jej było jeszcze zamknięte, pełne zaciętej walki i nie chciała go zgłębiać.

— Powiedz mi pan, — rzekła po cichu pani Desforges do Bouthemonta, — czy to nie ta niezgrabna dziewczyna? więc ją wziął napowrót?... To ona musi być bohaterką tej historyi!

— Może... — odparł naczelnik oddziału z uśmiechem, postanawiając nie powiedzieć jej prawdy.

Wtedy pani Desforges, idąc za Dyonizą, zaczęła powoli wstępować na wschody. Co trzy sekundy, musiała stawać, żeby jej nie porwał tłum schodzących. Pośród żywego drgania całego magazynu, żelazne belki podtrzymujące wschody trzęsły się pod nogami, jak gdyby je poruszał oddech ciżby. Na każdym stopniu, manekin mocno przytwierdzony, miał na sobie to kostium, to paltot, to szlafroczek. Wyglądały one jak podwójny szereg żołnierzy na jakimś zwycięzkim pochodzie. Mała drewniana rączka zatknięta w każdym z nich, nakształt sztyletu w czerwonej bai, wyglądała jak krew na szyi.

Pani Desforges zbliżyła się nakoniec do pierwszego piętra, kiedy ją zatrzymał na chwilę, większy jeszcze ścisk. Miała teraz pod sobą oddziały parterowe, całą rzeszę rozpierzchniętych klientek, z pomiędzy których tylko co się wydobyła. Był to nowy widok: tłum głów widzianych w skurczu, kryjący torsy, ruszający się jak mrowisko. Białe etykiety wyglądały już tylko jak wązkie skrawki papieru; piętrzące się stosy wstążek; zdawały się płasko leżeć; cały przylądek flaneli, przecinała galerya, jakby wysokim murem, dywany zaś i haftowane jedwabie, zdobiące poręcze, wisiały u jej nóg, jak chorągwie procesyjne pod amboną w kościele. W dali dostrzegła kąty galeryj bocznych, jak ze szczytu dzwonnicy, rozpoznaje się rogi sąsiednich ulic, na których poruszają się przechodnie, podobni do czarnych plam.

Ale co ją najbardziej zdumiewało, to że gdy zamknęła oczy, olśnione jaskrawą mieszaniną kolorów, więcej dawał się jej czuć tłum głuchym szmerem, jakby przypływu fal i wydzielającym się ciepłem z ciała ludzkiego. Z posadzki wznosił się drobny pył, przepełniony wonią właściwą kobietom: zapachem ich bielizny i ciała, spódnic i włosów; zapach ten przenikający i odurzający, zdawał się być kadzidłem w tej świątyni, wzniesionej ku czci kobiecego ciała.

Mouret, stojąc ciągle przed czytelnią wraz z Vallagnosc'em, oddychał tą wonią i upajał się nią, powtarzając:

— One tu są u siebie; znam niektóre, co spędzają tu cały dzień, jedząc ciastka, pisząc listy.... pozostawałoby tylko dać im jeszcze nocleg.

Żart jego wywołał uśmiech na usta Pawła, któremu jako pesymiście, wydawał się niedorzecznym ten szał całego tłumu do gałganków. Ile razy zjawił się na chwilę u dawnego kolegi, odchodził prawie gniewny, widząc do jakiego stopnia drga on życiem, wśród tej rzeszy elegantek. Czy która z nich, z pustym umysłem i sercem, nie otworzy mu na to oczu, jak podobne życie jest głupie i niepożyteczne? — myślał. Właśnie tego dnia Oktaw zdawał się mieć mniej równowagi; on co zazwyczaj tchnął gorączkę w swe klientki ze spokojnym wdziękiem operatora, zdawał się sam ogarnięty namiętnością, jaka powoli cały magazyn ogarniała. Odkąd zobaczył Dyonizę i panią

Desforges, idące zwolna po wschodach, mówił głośniej i gestykulował mimowoli. Strzegąc się obrócić ku nim głowę, ożywiał się jednak w miarę jak się zbliżały. Twarz pokryła mu się rumieńcem i oczy wyrażały trochę tego upojenia i zachwytu, jakim dawały się ogarnąć wszystkie klientki.

— Muszą cię porządnie okradać, — szepnął Vallagnosc, dostrzegając u tego tłumu zbrodnicze fizyognomie.

Mouret roztworzył szeroko ramiona.

— To przechodzi wszelkie wyobrażenie.

Uradowany z nadarzającego mu się słuchacza, począł przytaczać mnóstwo szczegółów i faktów, klasyfikując zarazem kradnącą publiczność. Po pierwsze: złodziejki z powołania, najmniej szkodliwe, bo je policya zna prawie wszystkie; po drugie: złodziejki, ulegające manii, pełne złych żądz, okazy nowej nerwozy, których ostry stan przypisuje pewien alienista, pokusom nasuwanym przez wielkie magazyny. Nakoniec, kobiety ciężarne, obierające sobie pewną specyalność; naprzykład: u jednej z nich, komisarz policyi, znalazł dwieście czterdzieści osiem par rękawiczek różowych, jakie skradła we wszystkich składach paryzkich.

— Więc dla tego mają tu kobiety takie dziwne oczy! — szepnął Vallagnosc. Przyglądałem się właśnie ich żądnym i zawstydzonym minom, któ-

re przypominają istoty w stanie obłąkania... To ładna szkoła uczciwości!

— Trudno, — odparł Mouret — pozwalam wprawdzie żeby tu były jak u siebie, ale nie mogę przystać, żeby wynosiły towary pod okryciem... a bywają między niemi osoby bardzo dystyngowane. W przeszłym tygodniu mieliśmy taki wypadek z siostrą jednego aptekarza i żoną radcy dworu. Starają się zatrzeć tę sprawę.

Przerwał sobie mowę, żeby pokazać inspektora Jouve, śledzącego właśnie ciężarną kobietę na parterze w składzie wstążek. Ogromny jej brzuch, cierpiał strasznie od szturchańców publiczności, lecz była w towarzystwie przyjaciołki, obowiązanej zapewne strzedz ją od zbyt dotkliwych uderzeń. Każdy raz, co się zatrzymywała w jakimś oddziale, Jouve nie spuszczał z niej oka, podczas kiedy przyjaciołka plądrowała do woli w pudłach.

— O, podłapie ją, — rzekł Mouret — on zna wszystkie ich wybiegi.

Lecz głos miał drżący i śmiał się nienaturalnie, gdyż Dyoniza i Henryeta, których nie przestał śledzić, przechodziły wreszcie po za nim, wydobywszy się z wielką biedą z tłumu.. Obrócił się i oddał dyskretny ukłon przyjaciela, nie chcącego skompromitować kobiety, zaczepianiem jej wobec ludzi; ale ona skutkiem rozbudzonych podejrzeń, bardzo dobrze dostrzegła wejrzenie, jakiem objął najpierw Dyonizę. Ta dziewczyna

musi być rywalką, którą przyszłam zobaczyć przez ciekawość, myślała.

W oddziale konfekcyj, sklepowe traciły głowy. Dwie panny były chore, a pani Frédéric, najspokojniej poszła do kasy w wigilią tego dnia, żeby się obliczyć, porzucając tak niespodzianie Magazyn, jak on wyganiał swych pracowników. Od rana, wśród gorączkowego zgiełku sprzedaży, mówiono tylko o tem zdarzeniu. Klara, która się utrzymała na swem miejscu, dzięki kaprysowi Moureta, dowodziła, że to znalezienie się jest bardzo *chic*. Małgorzata opisywała wściekłość Bourdoncle'a, a pani Aurelia mówiła z urazą, że pani Frédéric powinna ją była uprzedzić, bo to „niesłychana rzecz, taka skrytość". Chociaż się nikomu nie zwierzała, podejrzywano, że ma wyjść za właściciela zakładu kąpielowego w okolicy Halles.

— Pani sobie życzy podróżnego płaszczyka? — zapytała Dyoniza panią Desforges, podawszy jej krzesło.

— Tak, — odrzekła ona sucho, postanawiając być niegrzeczną.

Nowe urządzenie oddziału konfekcyj było bogate ale poważne; znajdowały się tam wysokie szafy z rzeźbionego dębu, zwierciadła zajmujące całe ściany i dywany miękkie wełniane, tłumiące odgłos kroków licznych klientek. Podczas gdy Dyoniza poszła po płaszczyki podróżne, pani Desforges, rozglądając się dokoła, spostrzegła

siebie w lustrze; siedziała więc, przyglądając się własnemu odbiciu. „Musiałam się zestarzeć, kiedy mnie zdradza dla pierwszej lepszej dziewczyny"—pomyślała. Zwierciadło odbijało cały oddział i ruch w nim panujący; ale ona widziała tylko swoją bladą twarz, nie słyszała, że w tyle Klara opowiada Małgorzacie o jednym z wybiegów pani Frédéric, która rano i wieczór nadkładała sobie drogi, przechodząc pasażem Choiseul, aby myślano, że może mieszka na lewym brzegu.

— Oto najnowsze fasony; mamy je w kilku kolorach — rzekła Dyoniza.

Rozłożyła pięć czy sześć płaszczyków, które pani Desforges oglądała wzgardliwem okiem, za każdym, starając się być jeszcze dokuczliwszą. Na co te zmarszczki, które ścieśniają ubranie? a ten kwadratowy w ramionach? wygląda zupełnie jakby siekierą odrąbany. Nawet w podróży nikt nie lubi wyglądać, jak budka szyldwacha.

— Proszę mi pokazać co innego.

Dyoniza rozkładała i składała płaszczyki, nie pozwalając sobie na żadną oznakę niechęci; ale właśnie jej spokój i cierpliwość drażniły jeszcze bardziej panią Desforges. Ciągle zwracała ona oczy ku zwierciadłu. Będąc obok Dyonizy, przeglądała się porównywając ją z sobą. Czy podobna, żeby ktoś wolał tę nic nieznaczącą istotę odemnie? Przypomniała sobie, że to jest ta sama dziewczyna, która przybywszy do magazynu, miała tak głupią i niezgrabną minę, jak gdyby

prosto od gęsi. Prawda, że dziś przyzwoiciej wygląda w tej swojej jedwabnej sukni; ale jakaż nędzna, jaka banalna!

— Pokażę pani inne modele; — rzekła znów spokojnie Dyoniza.

Gdy powróciła, powtórzyło się toż samo: teraz sukno było za ciężkie; w złym gatunku. Pani Desforges obracała się, podnosiła głos, chcąc koniecznie zwrócić uwagę pani Aurelii w nadziei, że wyłaje dziewczynę. Ale ona od powrotu swego, zwolna opanowała oddział i była tak już jak u siebie. Pani Aurelia przyznawała jej rzadkie zalety jako sklepowej: obejście słodkie i uprzejme. Dla tego też wzruszyła tylko ramionami, nie odzywając się wcale.

— Gdyby pani była łaskawa powiedzieć w jakim rodzaju sobie życzy... — rzekła Dyoniza z ugrzecznieniem, którego nic zachwiać nie mogło.

— Ależ wy nic nie macie! — wykrzyknęła pani Desforges, lecz umilkła zaraz zdumiona, że ktoś rękę na jej ramieniu położył; była to pani Marty, którą żądza nabywania, gnała po wszystkich magazynach. Sprawunki jej do takiej ilości doszły po krawatkach, rękawiczkach haftowanych i ponsowej parasolce, że ostatni ze sprzedających jej subiektów, umyślił położyć wszystkie na krześle, bo nieudźwignąłby na ręku i szedł przed nią, ciągnąc to krzesło, na którem piętrzy-

ły się spódnice, serwety, firanki, lampa i trzy maty do wycierania nóg.

— Aa, pani kupuje płaszczyk podróżny — zapytała.

— O nie... bo są szkaradne; — odparła pani Desforges.

Ale pani Marty natrafiła na jeden prążkowany, który jej się wydawał wcale niebrzydki. Córka jej Walentyna, już go właśnie oglądała. Wówczas Dyoniza wezwała Małgorzatę, żeby podała zeszłoroczny model płaszczyka; tamta zaś porozumiawszy się z nią wzrokiem zapewniała, że to wyjątkowy jest okaz... Skoro przysięgła, że już dwa razy obniżono jego cenę ze stu pięćdziesięciu na sto trzydzieści franków, a teraz oddadzą go za sto dziesięć franków, pani Marty okazała się bezsilną wobec tak taniego przedmiotu i kupiła go, a subiekt pozostawił krzesło wraz z całą paką sprawunków.

Jednakże za plecami tych pań, pośród trącania się w zamęcie sprzedaży, plotki o pani Frédéric szły swoim porządkiem.

— Doprawdy! Miała kogo? — pytała nowoprzybyła panna sklepowa.

— Tego z kąpieli... przecież... — odrzekła Klara — takim cichym wdowom nie trzeba dowierzać.

Podczas gdy Małgorzata pokazywała płaszczyk, pani Marty obróciła głowę i wskazując na

Klarę lekkim ruchem powiek, rzekła bardzo cicho do pani Desforges.

— Oto kaprys Moureta.

Ta, zadziwiona, spojrzawszy na Klarę a potem na Dyonizę, — odpowiedziała:

— Ależ nie ta wysoka, tylko ta niska.

Pani Marty nie śmiała się już upierać; ona zaś rzekła znowu głośno i wzgardliwie, jak dama mówiąca o pokojówkach:

— Może wysoka i niska, wszystkie co chce!

Dyoniza usłyszawszy to, zbladła i podniosła swe wielkie i niewinne oczy na tę nieznaną damę, która ją tak zelżyła. Musi to być ta pani Desforges, owa przyjaciółka, którą podobno odwiedza pryncypał, powiedziała sobie. W spójrzeniu jakie zamieniły, Dyoniza wyraziła tak smutną godność i szczerą niewinność, że się Henryeta zmieszała.

— Kiedy panna nie masz nic znośnego do pokazania, to zaprowadź mnie do sukien i kostiumów; — rzekła szorstko.

— Ja także tam pójdę, — odezwała się pani Marty — chciałam właśnie obejrzeć kostium dla Walentyny.

Małgorzata wziąwszy krzesło za grzbiet, ciągnęła je na tylnych nogach, niszcząc tem woskowaniem. Dyoniza niosła zaś tylko kilka metrów fularu, kupionego przez panią Desforges. Była to zupełna podróż teraz, odkąd suknie i kostiu-

my znajdowały się na drugiem piętrze, w przeciwnym końcu Magazynów.

Rozpoczęła się więc ich przeprawa wzdłuż zaludnionych galeryj. Na czele szła Małgorzata, ciągnąc krzesło, jakby wózek i torując sobie zwolna drogę. Zaraz przy bieliznie pani Desforges, zaczęła narzekać:

— Czy nie śmieszne są te bazary, gdzie trzeba iść dwie mile po lada drobnostkę!

Pani Marty upadała ze zmęczenia, ale miło jej było ponosić ten trud i to zamieranie sił, wśród niewyczerpanego nagromadzenia towarów. Mouret zagarnął ją całą swym genialnym pomysłem. Przechodząc zatrzymywała się w każdym oddziale. Najpierwszy przystanek był przy wyprawach ślubnych: tam się skusiła na koszule, które jej Paulina sprzedała; Małgorzata pozbyła się więc swego krzesła, oddając je Paulinie, wraz z rachunkami. Pani Desforges, byłaby mogła iść dalej, żeby prędzej zwolnić Dyonizę, ale zdawała się uszczęśliwioną tem, że ją czuje za sobą nieruchomą i cierpliwą, podczas gdy ona zatrzymuje się, by wspierać radą przyjaciółkę. Przy wyprawkach dla dzieci, te panie zachwycały się, nic jednak nie kupując. Następnie rozpoczęły się na nowo pokusy pani Marty; nabyła po kolei: biały jedwabny gorset, mankiety futrzane, które jej sprzedano po zniżonej cenie, z powodu letniej pory; koronki ruskie, jakiemi wówczas obszywano bieliznę stołową. Wszystko to piętrzyło się na

trzeszczącym już krześle; paczki sterczały jedne na drugich, a subiekci przyjmujący kolejno krzesło, z coraz większym wysiłkiem je dźwigali.

— Tędy, łaskawa pani; — mówiła Dyoniza bez użalenia się, po każdym przestanku.

— Ależ to szaleństwo! — wołała pani Desforges, my chyba nigdy nie zajdziemy! Dla czego suknie i kostiumy nie znajdują się obok konfekcyj? To dopiero krętanina!

Pani Marty, której oczy rozwierały się szeroko wobec upajającego widoku tylu bogatych przedmiotów migających przed nią, poddawała się całkiem swej manii kupowania, powtarzając półgłosem:

— Boże mój! Co mąż na to powie?... Masz pani słuszność, w tych magazynach ładu nie ma. Błąkając się po wszystkich kątach, głupstwa się robi.

Na wielkim centralnym przystanku, trudno było przejść z krzesłem, gdyż właśnie Mouret zacieśnił go wyrobami paryzkiemi. Były tam kubki osadzone na nóżkach z cynku złoconego, nesesery i serwisy do likierów. Zdawało mu się, że zbyt swobodne jest przejście i za mały ścisk; zalecił więc jednemu z subiektów, wystawić na małym stoliku osobliwości chińskie i japońskie, drobiazgi niedrogie, które klientki sobie wyrywały. Było to nadspodziewane powodzenie, obiecywał więc sobie urządzić tę sprzedaż na większą skalę. Pani Marty, podczas gdy dwóch chłopców wno-

siło jej krzesło na drugie piętro, kupiła tam sześć guzików z kości słoniowej, myszki jedwabne i pudełko do zapałek emaliowane z przegródkami.

Na drugiem piętrze, rozpoczęła się na nowo dalsza przeprawa. Dyoniza w ten sposób od rana przeprowadzając klientki, upadała ze znużenia, ale nie zdradzała tego, ciągle zarówno grzeczna i słodka. Musiała znowu czekać na te panie w składzie materyałów meblowych, gdzie prześliczny kreton porwał panią Marty; potem w oddziale mebli, gdzie ją wzięła chętka na stoliczek do roboty. Ręce jej drżały i ze śmiechem zaklinała panią Desforges, żeby jej nie pozwoliła więcej kupować, kiedy spotkawszy się z panią Guibal znalazła wymówkę we własnych oczach. Było to w sali dywanów; pani Guibal udała się tam nareszcie, żeby zwrócić portiery wschodnie, które sama nabyła przed pięciu dniami; stojąc rozmawiała z tęgim zuchem, o atletycznych rękach dźwigającym od rana do wieczora ciężary, od jakichby wół padł nieżywy.

Rozumie się, że był strapiony tym „zwrotem" pozbawiającym go procentów, starał się więc wprowadzić w kłopot klientkę, odgadując jakąś nieczystą sprawę, może wyprawiła bal z temi portierami, które wzięła w Magazynie, a potem odesłała, żeby ich nie wynająć od tapicera; wiedział doskonale, że się takie rzeczy zdarzają czasami, w oszczędnych mieszczańskich domach. Pani zapewne ma przyczynę, żeby je oddać; jeżeli

się te desenie albo kolory niepodobają, mogę pokazać inne; mamy wielki wybór. Na wszystkie jego przypuszczenia pani Guibal odpowiadała spokojnie, z królewską pewnością siebie, że się jej portiery już niepodobają, nie objawiając przyczyny. Innych nie chciała nawet oglądać; rad nie rad musiał się poddać, bo subiekci mieli zalecone odbierać towary, nawet gdyby dostrzegli, że je używano.

Gdy się te trzy panie oddalały razem, pani Marty z wyrzutem sumienia wspominała stolik do roboty, wcale jej niepotrzebny, pani Guibal rzekła swym spokojnym głosem:

— To go pani oddasz... widziałaś przecież, że w tem nie ma nic trudnego. Niechaj ci go jednak zaniosą do domu. Postawisz go w salonie, napatrzysz się, a jak ci się sprzykszy, to go zwrócisz.

— Dobra myśl! — zawołała pani Marty — jeżeli mój mąż bardzo się rozgniewa, to im wszystko zwrócę.

Było to dla niej zupełnem usprawiedliwieniem, odtąd nieobliczając się, kupowała ciągle, z tajoną chęcią zatrzymania wszystkiego, nie należała bowiem do rzędu kobiet, które zwracają.

Nakoniec doszły do sukien i kostiumów, ale gdy Dyoniza chciała oddać jednej ze sklepowych fular kupiony przez panią Desforges, ta udała że się rozmyśliła, oznajmiając, że stanowczo weźmie jeden z podróżnych płaszczyków, mianowicie jasnopopielaty z kapturkiem. Dyoniza zmuszoną

więc była uprzejmie czekać jeszcze, żeby ją zaprowadzić znowu do konfekcyj. Zrozumiała ona, że pani Desforges chce ją traktować jako służącę, obowiązaną stosować się do kaprysów imponującej klientki, ale postanowiła już nie wychodzić z karbów obowiązku, zachowała więc zwykły spokój, pomimo bijącego serca i buntującej się dumy. Pani Desforges nic nie kupiła w oddziale sukien i kostiumów.

— O, mamo! — zawołała Walentyna — jeżeli ten kostium jest w miarę dla mnie...

Pani Guibal wykładała po cichu swoją taktykę pani Marty. Skoro jej się podobała jaka suknia w magazynie, kazała sobie ją przynieść, wykrawała fason i następnie ją odsyłała. Pani Marty kupiła kostium dla córki, szepcząc:

— Dobra myśl! pani jesteś praktyczną.

Trzeba było pozostawić krzesło w oddziale mebli przy stoliczku do robót. Ciężar tak się wzmógł, że tylne nogi o mało co nie odpadły. Wszystkie sprawunki miały zatem być odniesione do jednej kasy, żeby następnie oddano je do biura ekspedycyi.

Wówczas te panie ciągle pod przewodnictwem Dyonizy, rozpoczęły na nowo swoją włóczęgę. Widać je było znowu we wszystkich oddziałach na wschodach i wzdłuż galeryj. Co krok zatrzymywały się z kim innym. Koło czytelni naprzykład, spotkały się z panią Bourdelais i jej trojgiem dzieci, obładowanych paczkami. Magdalena

niosła sukienkę dla siebie, Edward cały zbiór trzewiczków, a mały Lucyan miał na głowie nowe kepi.

— I ty tutaj, — powiedziała pani Desforges ze śmiechem do swej koleżanki z pensyi.

— Nie mów mi o tem! — wykrzyknęła pani Bourdelais. Jestem wściekła. Chwytają nas w sidła za pomocą tych istotek. Wiesz, że dla siebie nie robię zbytków, ale jak tu się oprzeć dzieciom, które się napierają wszystkiego? Przyszłam, ażeby je oprowadzić tylko, tymczasem patrz, rabuję magazyn.

Mouret znajdujący się tam jeszcze w towarzystwie panów Vallagnosc i de Boves, przysłuchiwał się temu z uśmiechem. Zobaczywszy go, uskarżała się wesoło, tając szczere oburzenie, że zarzuca sieci na czułość macierzyńską; myśl, że uległa gorączce reklamy drażniła ją. On zaś uśmiechnięty, uchylał głowy, ciesząc się swym tryumfem. Pan de Boves póty manewrował, żeby się zbliżyć do pani Guibal, póki wreszcie nie przystąpił, starając się umknąć przed Vallagnosc'em; ale ten zmęczony przebijaniem się przez ciżbę, pośpieszył z nim się połączyć. Dyoniza znowu się zatrzymała; czekając na te panie odwróciła się ona plecami; Mouret także udawał, że jej nie widzi. Odtąd pani Desforges, kierowana delikatnym węchem zazdrosnej kobiety, przestała wątpić. Podczas gdy jej prawił grzeczności, towarzysząc jej kilka kroków, jak przystało na

uprzejmego gospodarza domu, zastanawiała się, w jaki sposób dowieść mu zdrady.

Tymczasem panowie de Boves i Vallagnosc, idąc z panią Guibal, dotarli do oddziału koronek. Zbytkowny ten salon, był obok konfekcyj; — dokoła ustawione były szafy z przegródkami, których szuflady z dębu rzeźbionego, spuszczały się do ziemi. Naokoło kolumn udrapowanych czerwonym aksamitem, wiły się wężownice z białych koronek; przez całą salę unosiły się gipiury, a na kontuarach, na kręgach kartonowych, nawinięte były w kłębek: *valenciennes*, *malines* i *point à l'aiguille*. W głębi siedziały dwie panie przed transparentem z popielatej jedwabnej materyi, na którą Deloche zarzucał koronki *chantilly*; one zaś patrzyły w milczeniu, nie mogąc się zdecydować.

— Cóż to, mówiłeś hrabio, że pani de Boves chora — wykrzyknął zadziwiony Vallagnosc — tymczasem stoi tam przed kontuarem z panną Bianką.

Hrabia drgnął, spoglądając z nienacka na panią Guibal.

— Prawda, słowo daję, — powiedział.

W salonie było strasznie gorąco, głosy nikły wśród ogólnego szmeru. Duszące się tam klientki, miały blade twarze i rozpłomienione oczy. — Można było powiedzieć, że wszystkie ułudy magazynu, zmierzały do tej najwyższej pokusy; że tam była oddalona alkowa upadku, kącik niebezpieczny, gdzie najsilniejsze padały pośród koro-

nek. Ręce zagłębiały się pomiędzy stosami towaru, one zaś przejęte były dreszczem rozkoszy.

— Zdaje się, że cię te panie rujnują, hrabio; — rzekł Vallagnosc, którego to spotkanie bawiło.

Pan de Boves zrobił gest męża, przekonanego o rozsądku swej żony i że nie dał ani jednego sous. Pani de Boves splądrowała z córką wszystkie oddziały, nic nie kupując, poczem wpadła pomiędzy koronki, nurtowana szałem niezaspokojonej żądzy. Padając od zmęczenia, trzymała się jednak na nogach; te miliony towarów, na które patrzyła, te przedmioty do stroju, których pożądała, a których wziąść z sobą nie mogła, oślepiały ją i odurzały. Długo stała w ciżbie klientek, tłoczących się koło kontuaru. Obecnie zaś grzebała się w stosach koronek, ręce jej obezwładniały, gorąco ją przechodziło od stóp do głów. Nagle, kiedy córka odwróciła głowę a subiekt się oddalił, chciała wsunąć pod płaszczyk sztuczkę *Point d'Alençon*; lecz drgnęła i upuściła ją, posłyszawszy głos Vallagnosca, który wesoło wykrzyknął:

— Zaskoczyliśmy panią!

Przez kilka sekund była niemą i strasznie bladą. Potem tłómaczyła się, że czując się zdrowszą, chciała użyć powietrza. Zauważywszy, że jej mąż stoi przy pani Guibal, zupełnie przyszła do siebie i patrzała na nich z miną tak pełną godności, iż ta pani poczuła się w obowiązku powiedzieć:

— Byłam z panią Desforges, a ci panowie nas spotkali.

Właśnie w tej chwili nadeszły tamte panie; Mouret im towarzyszył i zatrzymał je na chwilę jeszcze, żeby wskazać inspektora Jouve, śledzącego ciągle ową ciężarną kobietę i jej przyjaciółkę. Było to bardzo ciekawe, bo trudno sobie wyobrazić, jaką wielką liczbę złodziejek łapano przy koronkach. Pani de Boves, słuchając wyobrażała sobie, że idzie pomiędzy dwoma żandarmami, pomimo lat czterdziestu pięciu i wysokiego stanowiska męża. Nie czując jednak wyrzutu sumienia, myślała tylko o tem, że powinna była wsunąć sztuczkę w rękaw. Jouve zdecydował się nakoniec przytrzymać ciężarną kobietę, straciwszy nadzieję złapania jej na gorącym uczynku, zresztą podejrzywał, że tak zręcznie napełnia sobie kieszenie, że nie mógł tego dostrzedz. Zrewidował na osobności, nie znalazł nic, ani jednej krawatki, ani jednego guzika, ale przyjaciółka znikła. Teraz wszystko zrozumiał: kobieta ciężarna służyła tylko za parawan a przyjaciółka kradła.

Damy ubawiły się tą przygodą; Mouret zaś trochę rozdrażniony, powiedział tylko:

— Ojciec Jouve dał się złapać tym razem... ale on to powetuje.

— Wątpię żeby temu podołał — rzekł Vallagnosc — zresztą dlaczego rozkładacie tyle towarów? Dobrze robią, okradając was. Nie należy kusić do takiego stopnia bezbronnych kobiet.

Było to ostatnie słowo, które zabrzmiało jak ostra nuta w tym dniu, wśród rosnącej gorączki

magazynu. Damy rozstały się z sobą, przechodząc po raz ostatni, rojące się publicznością sale. Była to godzina czwarta; promienie skłaniającego się ku zachodowi słońca, wpadająo ukośnie przez szerokie łuki fasady, oświecały oszklenie hall i wśrod tej łuny jakby od pożaru, wznosił się do góry gęsty pył, jak złotawy proszek, od rana wzbijany dreptaniem tłumu. Jasny obłok ten przechodził przez centralną galeryę, stanowiąc tło dla wschodów, wiszących mostów i całej żelaznej gipiury. Mozaiki i fajans fryzów migotały, zielone i czerwone kolory malowania gorzały wśród mnogich złoceń. Było to niejako ognisko, w którem paliły się wystawy, pałac z rękawiczek i krawatów, wieńce ze wstążek i koronek, ogromne stosy wełnianych tkanin; barwiste rabaty, na których kwitły lekkie jedwabie i fulary. Lustra pałały; wystawa parasolek, wydętych nakształt puklerzy, rzucała odblaski meta lowe. W dali po za smugami cienia, ukazywały się niewyraźnie sale, jaśniejące i rojące się tłumem, oblanym słonecznemi blaskami.

Lecz nawet w tej ostatniej chwili, pośród tego ogrzanego powietrza, kobiety królowały. Zdobyły szturmem magazyny, obozowały w nim jak w zawojowanym kraju, niby horda najeźdców, rozłożona pomiędzy stosami towarów. Subiekci odurzeni i zmordowani, byli już tylko ich rzeczami, z któremi obchodziły się po tyrańsku, jako władczynie. Tłuste jejmoście potrącały ludzi

szczupłe nawet zajmowały dużo miejsca, nabierając arogancyi. Wszystkie z głową do góry, z ostremi ruchami, były jak u siebie, nie okazując grzeczności jedna drugiej, korzystając z tego domu do takiego stopnia, że aż pył ze ścian z sobą zabierały, pani Bourdelais, chcąc sobie powetować wydatki, znowu zaprowadziła dzieci do bufetu, gdzie się tłumy potrącały w napadzie szalonego głodu, matki nawet raczyły się do zbytku malagą. Od chwili otwarcia magazynu, wypito osiemdziesiąt litrów soku i pięćdziesiąt litrów wina. Kupiwszy podróżny płaszczyk, pani Desforges zażądała rachunku w kasie i odjechała, rozmyślając, jakimby sposobem zwabić do siebie Dyonizę i upokorzyć ją wobec Moureta, żeby zobaczyć ich miny i zmiarkować jak rzeczy stoją. Gdy się nakoniec udało panu de Boves zginąć w tłumie wraz z panią Guibal, pani de Boves, której towarzyszyli córka jej Bianka i Vallagnosc, przyszedł kaprys poprosić o czerwony balonik, chociaż nic nie kupiła. Nie chciała wyjść z pustemi rękami, a tym podarunkiem mogła zjednać sobie przyjaciela w synu odźwiernego. W sali, gdzie te cacka rozdawane były, napoczęto czterdziesty tysiąc, czterdzieści tysięcy czerwonych baloników, które wyleciawszy z ciepłego powietrza, obecnie bujały po całym Paryżu, rzucono z firmą *Bonheur des Dames*.

Wybiła piąta godzina, ze wszystkich tych pań pozostała tylko pani Marty z córką w ostatnim

kryzysie wydatkowania. Nie mogła się ztamtąd oderwać; śmiertelnie zmęczoną, utrzymywały tak mocne więzy, że ciągle wracała zkąd wyszła bez potrzeby, gnana tylko nienasyconą ciekawością. Była to chwila, w której tłum podżegany reklamą, kończył swoje wysiłki. Sześćdziesiąt tysięcy zapłacone za ogłoszenia w dziennikach, dziesięć tysięcy za afisze rozlepione po murach, dwakroć sto tysięcy za katalogi, rzucone pomiędzy publicznością, wypróżniwszy sakiewki, pozostawiały jeszcze tym nerwom kobiecym dreszcze upojenia. — Były one ciągle pod silnym wpływem wszystkich wynalazków Moureta, jako to: obniżania cen bez końca, zwrotów, grzeczności przesadzonych, skutkiem których słabe ich ciała upadają. Pani Marty opóźniała się pomiędzy stołami propozycyi, pośród ochrypniętych nawoływań subiektów, wśród brzęku złota w kasach i przewożenia pakietów, zsuwających się do suteren. Raz jeszcze przechodziła przdez arterowe sale białych towarów, jedwabi, rękawiczek i wełny; potem wróciła, upajając się drganiem metalicznem wschodów, mostów wiszących. Znowu powróciła do konfekcyi, bielizny, koronek, oparła się aż o drugie piętro najwyżej, w składach pościeli i mebli; a wszędzie subiekci: Hutin, Favier, Mignot, Liénard, Deloche, Paulina i Dyoniza, z odrętwiałemi nogami, czynili ostatnie wysilenia i wyzyskiwali ostatnią gorączkę klientek. Ta gorączka od rana powoli wzrastała, zarówno jak i upajająca woń, jaką wy-

dzielały ciągle rozrzucane towary. Tłum płonął od pożaru zachodzącego słońca. Obecnie pani Marty miała twarz ożywioną, zdenerwowaną, jak dziecko, któreby się napiło czystego wina; wchodząc tam miała oczy przejrzyste i cerę świeżą, dzięki ostremu powietrzu, lecz powoli jedno i drugie gorączkowała widokiem tego zbytku i jaskrawych kolorów, których ciągłe migotanie jątrzyło jej namiętność. Gdy wyszła na ulicę, powiedziawszy, że zapłaci w domu, przygnębiona ogromnym rachunkiem, miała twarz zmęczoną, źrenice rozszerzone jak u chorej. Musiała użyć wielkiej siły, żeby się wydobyć z tłoku, nieustającego przy drzwiach, gdzie się rozbijano pośród pudeł. Potem na chodniku, kiedy odszukała córkę, którą straciła z oczu, zadrżała na ostrem powietrzu, a wpływ tej nerwozy wielkich bazarów nie przestawał jej dręczyć.

Wieczorem, gdy Dyoniza wracała z obiadu, rzekł do niej jeden z garsonów:

— Proszę do dyrekcyi.

Zapomniała o rozkazie Moureta, wydanym jej z rana, aby przyszła do jego gabinetu po skończonej sprzedaży. Mouret oczekiwał na nią stojący. Wchodząc nie zamknęła drzwi za sobą, które pozostały otworem.

— Jesteśmy zadowoleni z pani — powiedział — chcemy dać tego dowody. Wiesz pani, w jaki niecny sposób opuściła nas pani Frédéric; otóż od jutra, zastąpisz ją jako druga sklepowa.

Dyoniza słuchała go ze zdumieniem i drżącym głosem wyjąkała:

— W oddziale maszyn, są daleko dawniejsze odemnie sklepowe.

— Cóż to znaczy?—odrzekł.—Jesteś pani najzdolniejszą, najpoważniejszą... robię więc z pani wybór, wszakże to naturalne. Czyś pani niezadowolona?

Zarumieniła się, radość walczyła w niej ze słodkiem zakłopotaniem, w którem topniał przestrach, jakiego doznała w pierwszej chwili. Dlaczego przedewszystkiem stanęły jej na myśli wnioski, jakie ludzie będą robić z tej niespodziewanej łaski? Była zmieszaną, pomimo żywej wdzięczności. Mouret patrzał na nią z uśmiechem. Ubrana w skromną jedwabną suknię, bez żadnych świecideł, zdobiły ją tylko królewskie blond włosy. Wydelikatniała, cerę miała białą, wyraz twarzy myślący; z dawnej nieznaczącej i wątłej dziewczyny, wyrobiła się kobieta powabna i drażniąca ciekawość.

— Pan jesteś zbyt dobry — jąkała — sama niewiem jak wypowiedzieć...

Lecz nagle umilkła: we drzwiach zjawił się Lhomme, trzymał on w jedynej swej ręce wielką skórzaną torbę a resztką uciętego ramienia przyciskał do piersi ogromny pugilares; za nim zaś syn jego Albert dźwigał ciężkie worki.

— Pięćkroć osiemdziesiąt siedem tysięcy dwieście dziesięć franków, trzydzieści centimów! —

wykrzyknął kasyer, którego twarz obwisła i zwiędła, zdawała się rozpromienioną, jakby odblaskiem tak znacznej sumy.

Był to dochód, jaki się jeszcze nigdy nie zdarzył Mouretowi. W głębi magazynów, które Lhomme przeszedł powoli, ociężałym krokiem, jak wół zbyt obładowany, słychać było hałas, wybuchy podziwienia i radości, które za sobą pozostawiała w przechodzie ta olbrzymia cyfra.

— Ależ to wspaniałe! — powiedział zachwycony Mouret. — Mój poczciwy Lhomme, złóż to tutaj i odpocznij, boś strasznie zmęczony. Każę zanieść te pieniądze do kasy centralnej. Tak, tak wszystkie złóż na mojem biórku. Chcę widzieć cały stos.

Cieszył się jak dziecko. Kasyer z synem złożyli ciężar: torba wydała wesoły dźwięk złota, dwa worki wylały na stół strumienie srebra i miedzi a z pugilaresu wyglądały rożki biletów bankowych. Cała strona ogromnego biurka była zawalona tą fortuną, zebraną w ciągu dziesięciu godzin.

Skoro Lhomme z synem oddalili się, ocierając pot z twarzy, Mouret jakiś czas pozostawał nieruchomy, zadumany, z oczami wlepionemi w pieniądze. Podniosłszy głowę ujrzał Dyonizę, która się odsunęła przy wejściu kasyera. Wówczas począł się znów uśmiechać, zmusił by przystąpiła bliżej i powiedział nareszcie, że jej tyle da,

ile zdoła zagarnąć w garść; w głębi tych żartów, tkwił targ o miłość.

— Idę o zakład, że nie weźmiesz więcej z torby jak tysiąc franków, taką masz małą rączkę.

Ale ona zbladła i odsunęła się jeszcze dalej. Więc ją kocha? Nagle zrozumiała, czuła płomień wzrastającej żądzy, jaki przenikał ją od czasu jej powrotu. Co ją bardziej jeszcze wzburzało, to szalone bicie serca. Dlaczego ją krzywdził ofiarując te pieniądze, kiedy jest przepełnioną wdzięcznością i wolałaby jedno słowo przyjazne? Zbliżał się do niej ciągle żartując, lecz ku wielkiemu niezadowoleniu jego, zjawił się Bourdoncle pod pozorem, że mu chcę oznajmić liczbę osób, które zwiedziły magazyn; była to ogromna cyfra siedemdziesięciu tysięcy! Dyoniza raz jeszcze podziękowawszy, oddaliła się.

ROZDZIAŁ II.

W pierwszą niedzielę miesiąca sierpnia spisywano inwentarz, który miał być ukończony wieczorem. Od samego rana, jakby w dzień powszedni, wszyscy pracownicy stawili się i zaczęli robotę przy drzwiach zamkniętych, w pustych salach.

Ale Dyoniza nie zeszła o ósmej, w liczbie innych sklepowych. Od pięciu dni pozostawała ona w swoim pokoiku, z powodu że zwichnęła nogę idąc na górę do pracowni. Czuła się już daleko lepiej; ale że ją pani Aurelia psuła, bez pośpiechu ostrożnie obuwała się, postanawiając pokazać się już w oddziale. Obecnie pokoiki panien zajmowały całe piąte piętro nowych zabudowań, ciągnące się wzdłuż ulicy Monsigny. Było ich sześćdziesiąt po obu stronach korytarza. Wygodniejsze były od dawnych, chociaż nie zawierały nic prócz żelaznego łóżka, dużej szafy i małej orzechowej gotowalni. Dyoniza jako druga sklepowa miała jeden z większych pokoi, z oknami w poddaszu, na ulicę wychodzącemi. Będąc teraz boga-

tą, pozwolała sobie na niektóre zbytki i tak: miała edredonową kołdrę, pokrytą gipiurą, dywanik przed szafą i na gotowalni dwa wazoniki szklanne niebieskie, w których więdły róże.

Obuwszy się spróbowała chodzić po pokoju, lecz musiała chwytać się sprzętów, kulejąc jeszcze trochę. Nie traciła nadziei, że rozchodzi nogę; rada jednak była, że nie pójdzie na obiad do stryja Baudu i że prosiła stryjenkę, żeby się przeszła z Pépé, oddanym znowu na pensyę do pani Gras. Jan, który ją odwiedził poprzedniego dnia, miał być także na tym obiedzie. Wprawiała się zwolna w chodzenie, obiecując sobie, że się wcześnie położy, ze względu na nogę, — kiedy zapukała pani Cabin i oddała jej list z tajemniczą miną.

Gdy się drzwi zamknęły, Dyoniza zdziwiona znaczącym uśmiechem tej kobiety, otworzyła list... Zbladła i oparła się o krzesło; był on bowiem od Moureta, który wyrażając radość z jej wyzdrowienia, zapraszał ją na obiad, z powodu że jeszcze wychodzić nie może. Ton bileciku zarazem poufały i ojcowski, nie miał w sobie nic obrażającego; ale nie mogła wątpić, że cały Magazyn wie dobrze, co znaczy w gruncie podobne zaproszenie; kursowała o tem nie jedna legenda. Klara była na obiedzie u pryncypała, inne także, wszystkie zresztą, które wpadały mu w oko. Żartobliwi subiekci twierdzili, że po obiedzie następowały wety. Biała twarz Dyonizy zwolna zalała się strumieniem krwi.

Upuściwszy list na kolana, siedziała z bijącem sercem wpatrzona w olśniewające światło jednego z okien. W tymże samym pokoju w ciągu bezsennych nocy, zmuszoną była zrobić przed sobą wyznanie: jeżeli drżała jeszcze gdy przechodził, wiedziała, że to nie przez nieśmiałość; dawne pomieszanie i obawa mogły być tylko bezpośredniemi skutkami miłości, wzburzeniem zradzającego się uczucia w jej dziecinnie dzikiej duszy. Nie rozumowała, tylko czuła, że w jej sercu gościła zawsze miłość, od chwili kiedy drżąc cała i jąkając się, przemówiła dziś po raz pierwszy. Kochała go wtenczas kiedy w niej wzbudzał strach, jako surowy prynoypał i wśród marzeń o Hutinie, kiedy mimowoli ulegała potrzebie kochania. Możeby się była oddała innemu, ale serce jej należało do tego tylko człowieka, który jednem spojrzeniem wzburzał ją całą. Wśród oślepiającego światła wpadającego przez okno, przesunęła się przed jej oczami wskrzeszona przeszłość, surowość jego w pierwszych czasach, przechadzka miła pod cieniem drzew Tiulieryjskiego ogrodu, wreszcie żądza jaka obejmowała ją od czasu jej powrotu. List zsunął się na ziemię, a Dyoniza ciągle patrzyła w okno, którego blask ją olśniewał.

Nagle ktoś zapukał; podniosła więc śpiesznie list i schowała go do kieszeni. Była to Paulina, która wymknąwszy się ze swego oddziału pod jakimś pozorem, przyszła pogawędzić trochę.

— Jakże się masz? Już się nie spotykamy.

Ponieważ było wzbronione wracać do pokoików w ciągu dnia, a zwłaszcza we dwie się zamykać, Dyoniza zaprowadziła ją na koniec korytarza, do wspólnego saloniku, który grzeczny pryncypał urządził dla panien, aby tam siedzieć mogły wieczorami do jedenastej godziny. Pokój ten biały ze złotem, banalny jak salon hotelowy: zawierał fortepian, stół stojący na środku, oraz fotele i kanapę w białych pokrowcach.

— Jak widzisz mogę już chodzić i właśnie zejść miałam.

— To gorliwość! — zawołała Paulina. Ja gdybym tylko miała pozór, siedziałabym u siebie i takbym się pieściła!

Usiadły obie na kanapie. Obejście Pauliny zmieniło się jednak odkąd Dyoniza została *drugą* w konfekcyach. Obok dawnej prostodusznej serdeczności, przebijało się w niej poszanowanie i zdumienie, że ta biedna, podrzędna niegdyś dziewczyna, szybkim krokiem zmierza do świetnej karyery. Dyoniza bardzo ją lubiła i zwierzała się przed nią tylko z pośród dwóchset kobiet, znajdujących się obecnie w Magazynie.

— Co ci jest?—zapytała żywo Paulina, zauważywszy jej pomieszanie.

— Nic... — odrzekła, siląc się na uśmiech.

— Owszem, owszem. Coś ci jest, straciłaś do mnie zaufanie, kiedy już nie mówisz o swoich zmartwieniach.

Dyoniza przestała walczyć ze wzruszeniem, rozrywającem jej piersi i podając list przyjaciółce; wyjąkała:

— Patrz, napisał do mnie.

Nigdy jeszcze nie mówiły z sobą tak otwarcie o Mourecie, ale nawet to milczenie było niejako wyznaniem najgłębszych myśli. Paulina o wszystkiem wiedziała. Przyczytawszy list, przytuliła się do Dyonizy, objęła ją wpół i z cicha rzekła:

— Moja droga, jeżeli mam prawdę powiedzieć, sądziłam, że się ta rzecz dawno stała. Nie oburzaj się, bo cały Magazyn musi mieć to samo przekonanie. Cóż dziwnego? Tak prędko zamianował cię *drugą* i ciągle ściga... przecież to rzuca się w oczy!

Złożywszy głośnego całusa na włosach Dyonizy, zapytała:

— Naturalnie, że pójdziesz dziś wieczór?

Dyoniza patrzyła na nią nie odpowiadając. Nagle wybuchnęła płaczem, z głową opartą na ramieniu mocno zadziwionej przyjaciółki.

— Uspokójże się; cóż w tem tak strasznego?

— Nie, nie, pozwól mi płakać, — jąkała Dyoniza, gdybyś wiedziała, jak ja się dręczę, odkąd odebrałam ten list; jestem nawpół żywa. Jak się wypłaczę, to mi lżej będzie.

Paulina bardzo rozczulona, sama nie wiedząc dla czego, starała się pocieszyć przyjaciółkę. Zapewniała, że on się już nie widuje z Klarą, że wprawdzie słychać, iż odwiedza jakąś damę na

mieście, ale to nie jest pewne. Że zresztą nie możesz być zazdrośną o człowieka w jego położeniu.

— Za dużo ma pieniędzy — dodała nakoniec — nikt mu tego zabronić nie może.

Dyoniza słuchała i gdyby dotąd nie wiedziała: czy go kocha, przestałaby wątpić wobec bólu, jakim wspomnienie Klary i pani Desforges, szarpało jej sercem. Słyszała przykry głos Klary i widziała panią Desforges ciągnącą ją za sobą po magazynach, ze wzgardą bogatej damy.

— Więc ty byś poszła? — zapytała nareszcie.

Paulina bez namysłu wykrzyknęła:

— Rozumie się: alboż można postąpić inaczej?

Lecz zastanowiwszy się, dodała:

— Tylko dawniej, nie teraz; wychodzę przecież za Baugé'go, więc to byłoby nieuczciwie.

Rzeczywiście Baugé, który niedawno opuścił *Bon Marché* dla *Bonheur des Dames*, miał się z nią ożenić w pierwszych dniach sierpnia. Bourdoncle nie lubił małżeństw, jednakże otrzymali pozwolenie i spodziewali się nawet dwutygodniowego urlopu, na miodowy miesiąc.

— Widzisz, że człowiek który nas kocha, powinien nas poślubić... Baugé ożeni się z tobą. Powiedziała Dyoniza.

Paulina roześmiała się na całe gardło i objęła ją wpół.

— Ależ moja droga, to zupełnie co innego. Baugé ożeni się ze mną dla tego, że to Baugé jest mi równym, więc nie ma w tym nic osobli-

wego; podczas gdy pan Mouret!... Czy pan Mouret może się ożenić ze swoją sklepową?

Śmiała się coraz głośniej, całując włosy Dyonizy. Jej pełna twarz z tkliwemi oczkami, wyrażała współczucie macierzyńskie. Potem wstała by otworzyć fortepian i jednym palcem zagrała motyw: „le Roi Dagobert", zapewne dla rozweselenia sytuacyi. Wśród pustki salonu, którą zdawały się powiększać białe pokrowce na meblach, dochodziły uliczne odgłosy; hałaśliwe nawoływania przekupki, sprzedającej zielony groszek. Dyoniza nawpół leżąca na kanapie, z głową opartą o poręcz, zanosiła się od płaczu, starając się stłumić łkania chustką.

— Jeszcze! — zawołała odwracając się Paulina. Doprawdy nie jesteś rozsądna... Dla czegoś mnie tu przyprowadziła?... Trzeba nam było pozostać w twoim pokoju.

Uklękłszy przed nią, znowu jej zaczęła prawić nauki:

— Ileż to dziewcząt pragnęłoby się znaleźć na twojem miejscu! Zresztą, jeżeli nie chcesz, cóż trudnego odpowiedzieć nie! i nie trapić się tak bardzo. Ale zastanów się dobrze, nim zaryzykujesz swe położenie przez odmowę, niczem nie dającą się usprawiedliwić kiedy jesteś wolną. I cóż w tem tak strasznego? Potem kazaniu, zaczęła szeptać wesoło jakieś żarciki... w tem usłyszały czyjeś kroki na końcu korytarza.

Paulina podniosła się, żeby wyjrzeć przez drzwi.

— Cyt! pani Aurelia! — szepnęła. Uciekam, a ty obetrzyj łzy, bo nikt o tem wiedzieć niepowinien.

Dyoniza pozostawszy samą, wstała, obtarła oczy i zdjęta strachem, że tak siedzi próżnując, zamknęła fortepian, który przyjaciółka jej pozostawiła otwartym. Usłyszawszy panią Aurelię, pukającą do jej drzwi, wyszła czemprędzej z salonu.

— Jakto! wstałaś, moje dziecko!... — zawołała *starsza*. Ależ to wielka nieostrożność! Przyszłam właśnie, żeby zapytać, jak się masz i powiedzieć, że się obejdziemy bez ciebie na dole.

Dyoniza upewniła ją, że się czuje lepiej i że jej zajęcie i rozrywka na dobre wyjdą.

— Nie będę się trudziła, pani mi pozwoli usiąść i zająć się tylko pisaniem.

Zeszły obie razem. Pani Aurelia bardzo uprzedzająca, zmusiła ją wesprzeć się na jej ramieniu. Musiała zauważyć, że ma czerwone oczy, gdyż przyglądała jej się ukradkiem. Pewnie wiedziała nie jedno.

Było to nadspodziewane zwycięztwo: Dyoniza podbiła sobie nakoniec cały oddział. Po dziesięciu miesiącach udręczeń, wśród nieustannych prześladowań i niechęci koleżanek, w ciągu kilku tygodni zdołała zapanować nad niemi tak dalece, że okazywały jej uległość i poszanowanie.

Nagła czułość pani Aurelii, wiele jej dopomogła w zjednywaniu serc; opowiadano sobie po cichu, że *starsza* oddawała Mouretowi drażliwej natury przysługi. Gdy się tak gorąco zaopiekowała tą dziewczyną, nie można było wątpić, że jej była w szczególności polecona. Lecz i Dyoniza całą mocą swego uroku, sama starała się rozbroić nieprzyjaciółki, co jej tem trudniej przychodziło, że zazdroszczono jej stanowiska *drugiej*. Panny wyrzekały na niesprawiedliwość, oskarżały ją, że się tego dobijała u pryncypała przy wetach; nawet dodawały ohydne szczegóły. Pomimo ich oburzenia, godność *drugiej* oddziaływała na nie. Dyoniza przybierała taką powagę, że wszystkie były zdziwione i najmniej przyjazne nawet ulegały jej woli. Wkrótce zaczęły jej pochlebiać nowoprzybyłe. Słodycz jej i skromność dokonały podboju. Małgorzata ukorzyła się; jedna tylko Klara ciągle była zła, czasami pozwalając sobie powtarzać dawną obelgę „źle uczesana", którą obecnie nikogo nie rozśmieszała. Przez ciąg krótkotrwałej fantazyi Moureta, nadużywała swego położenia, zaniedbując się w pracy; stała się leniwą, gadatliwą i próżną. Gdy się Mouret prędko przesycił, nie narzekała wcale z powodu rozwiązłego życia, nie będąc zdolną do zazdrości i zadawalniała się tem, że może nic nie robić. Ale utrzymywała, że ją Dyoniza okradła z następstwa po pani Frédéric. Nigdyby nie była przyjęła takiego trudu, lecz ją oburzał ten brak względ-

dów, kiedy posiada też same prawa co Dyoniza a nawet dawniejsze.

— Patrzcie, prowadzą położnicę; — szeptała ujrzawszy panią Aurelię, wiodącą pod rękę Dyonizę.

Małgorzata wzruszyła ramionami.

— Czy ci się zdaje, że to dowcipne!

Wybiła godzina dziewiąta. Z jasnego błękitu nieba spływał żar na ulicę; dorożki toczyły się ku dworcom kolejowym; cała ludność odświętnie przystrojona, ciągnęła długiemi szeregami ku lasom przedmieść. W magazynie zalanym blaskiem słońca, przez otwarte wielkie okna, zamknięty personel przystąpił do spisywania inwentarza. Z drzwi powyjmowano klamki. Ludzie stawali na chodnikach i zaglądali przez szyby zdziwieni, że magazyny zamknięte, a wewnątrz panuje taki ruch niezwykły. Po wszystkich galeryach i piętrach od góry do dołu, słychać było dreptanie subiektów, z rękami wzniesionemi w górę; przerzucanie paczek ponad głowami; a wszystko to pośród krzyków wygłaszanych cyfr. Zamęt ten wzmagał się i przechodził w ogłuszający hałas. Każdy z trzydziestu dziewięciu oddziałów robił swoje, nie zważając na sąsiednie. Zresztą wzięto się dopiero do przedziałek: na ziemi leżało tylko kilka sztuk towarów. Trzeba było wprawić maszynę w większy ruch, aby skończyć robotę do wieczora.

— Dla czego pani zeszłaś, — zapytała uprzejmie Małgorzata, zwracając się do Dyonizy — gotowaś sobie zaszkodzić, a nas tu jest dosyć.

— Ja jej to samo mówiłam, — odezwała się pani Aurelia — ale chce nam koniecznie pomagać.

Wszystkie panny otoczyły Dyonizę, przez co praca była przerwaną. Prawiły jej grzeczności i słuchały z wykrzykami opowiadania o zwichnięciu nogi. Nakoniec pani Aurelia usadowiła ją na krześle przy stoliku, gdzie miała zapisywać wywoływane artykuły. Zresztą w niedzielę przeznaczoną na spis inwentarza wszystkie osoby piśmienne powoływano do tej czynności: inspektorów, kasyerów, subiektów kantorowych, nawet chłopców sklepowych. Oddziały rozbierały pomiędzy sobą tych jednodniowych pomocników, aby prędzej zakończyć robotę. W ten sposób Dyoniza ujrzała się obok kasyera Lhomme'a i chłopca Józefa; obaj siedzieli pochyleni nad ogromnemi arkuszami papieru.

— Pięć płaszczyków sukiennych, obszytych futrem, trzeciej wielkości, po dwieście czterdzieści! Obwoływała Małgorzata. Cztery takie same, pierwszej wielkości, po dwieście dwadzieścia!

Robota rozpoczęła się na nowo. Po za Małgorzatą trzy sklepowe wypróżniały szafy, gatunkowały artykuły i podawały je wiązkami, które wygłaszała, składając potem na stołach, gdzie się piętrzyły zwolna w ogromne stosy. Lhomme zapisywał, Józef prowadził drugi spis dla kon-

troli; nawet sama pani Aurelia, mając do pomocy trzy sklepowe, wyliczała tymczasem okrycia jedwabne, które Dyoniza wciągała do spisu. Klara była obowiązaną czuwać nad stosami; układać je tak, żeby jak najmniej miejsca zajmowały na stołach. Ale że niepilnowała roboty, stosy te ciągle się waliły.

— Powiedz mi, — zapytała jednej sklepowej, przyjętej zimą, czy dostaniesz podwyżkę pensyi? Pewnoś słyszała, że *drugiej* podwyższono do dwóch tysięcy franków, co uczyni około siedmiu i pół tysięcy z procentami.

Panienka nie przestając podawać rotondy, odpowiedziała, iż jeżeli jej nie podwyższą do ośminset franków, to opuści miejsce. Podwyżki ustanawiane były zwykle na drugi dzień po spisie inwentarza; był to również czas w którym obliczano cyfrę obrotu rocznego i naczelnicy oddziałów otrzymywali procenta, stosownie do powiększenia się sprzedaży. Ztąd to, pomimo zamętu panującego przy robocie, plotki kursowały zawzięcie. Pani Aurelia miała otrzymać przeszło dwadzieścia pięć tysięcy franków, która to suma strasznie drażniła panny. Małgorzata, najlepsza sklepowa po Dyonizie, doszła do czterech tysięcy pięciuset franków, tysiąc pięćset franków pensyi i około trzech tysięcy procentów; co się tyczy Klary, to wszystko razem wynosiło jej dwa tysiące pięćset franków.

— Ja tam kpię z ich podwyższek! — mówiła, zwracając się wciąż do tej samej sklepowej. Gdyby tylko papa umarł, puściłabym ich w trąbę! Ale co mnie najwięcej oburza, to te siedem tysięcy tej chudej dziewczyny! Cóż ty na to?

Pani Aurelia przerwała gwałtownie rozmowę, zwracając się do nich ze swą imperatorską miną:

— Proszę milczeć, moje panny! Nic słyszeć nie można, daję słowo!

Poczem znów zaczęła wyliczać:

— Siedem płaszczyków, *à la vieille*, sycylijskich, pierwszej wielkości, po sto trzydzieści! Trzy szubki, surah, drugiej wielkości, po sto pięćdziesiąt! Czy zapisałaś już panno Dyonizo?

— Tak pani.

Klara po tem napomnieniu zmuszoną była zająć się chwilę uporządkowaniem stosów okryć rzucanych na stoły. Przesuwała je, żeby zrobić miejsce; lecz niezadługo znowu się opuściła, żeby pogadać z subiektem, który jej szukał. Był to rękawicznik Mignot; wyrwał się on na chwilę ze swego oddziału i po cichu poprosił ją o pożyczenie dwudziestu franków, chociaż był jej już winien trzydzieści. Pożyczkę tę zaciągnął nazajutrz po wyścigach, gdzie zakładając się o konia, przegrał tygodniowy z tantiemy zarobek; obecnie zaś przejadłszy całą tantiemę, wziętą w wigilię tego dnia, nie miał w kieszeni nawet dziesięciu sous, na spędzenie niedzieli. Klara miała przy sobie tylko dziesięć franków, które dosyć chętnie mu

pożyczyła; potem rozmawiali o partyjce w sześć osób, jaką wyprawili w jednej z restauracyj w Bougival, kobiety płaciły wówczas za siebie, z czem daleko było lepiej, bo wszyscy byli swobodniejsi. Mignot, potrzebując konieczne dwudziestu franków, przystąpił do Lhomme'a i schyliwszy się, po cichu zażądał dziesięciu franków. Ten, powstrzymany w robocie, zdawał się mocno zmieszany; jednakże nie śmiejąc odmówić szukał w portmonetce dziesięcio-frankowej sztuki. Tymczasem pani Aurelia, nie słysząc nawoływań Małgorzaty, spostrzegła Mignota i wszystko zrozumiała. Groźnie odprawiła go do właściwego oddziału, zalecając aby nie przeszkadzał pannom w czynnościach; — lecz w gruncie rzeczy obawiała się tego młodzieńca, wielkiego przyjaciela jej syna Alberta i wspólnika wszystkich jego zdrożności, które mogły mieć smutny koniec. To też gdy Mignot, otrzymawszy swoje dziesięć franków, uciekł, nie mogła się powstrzymać, aby nie powiedzieć mężowi:

— Jak można dać się okpiwać w ten sposób!

— Ależ, moja kochana, nie mogłem mu odmówić.

Zamknęła mu usta, wzruszeniem potężnych ramion; poczem, ponieważ panny wyśmiewały się ukradkiem z przemówienia się tej pary, zawołała głośno:

— Panno Małgorzato, nie zasypiajmy sprawy, idźmy dalej, bo nigdy nie skończymy.

— Dwadzieścia paltotów, z podwójnego kaszmiru, czwartej wielkości, po osiemnaście pięćdziesiąt — wygłosiła Małgorzata swym śpiewnym głosem.

Lhomme z głową spuszczoną ciągle pisał. Stopniowo podwyższono mu pensyę do dziesięciu tysięcy franków, jednakże nie przestawała mu imponować pani Aurelia, zarabiając cztery razy więcej.

Przez jakiś czas robota postępowała. Cyfry unosiły się w powietrzu; ubrania waliły się na stoły. Lecz Klara wynalazła nową rozrywkę, w przekomarzaniu się z Józefem, z powodu podpatrzonej słabostki jego do jednej z panien, z oddziału przysposabiania próbek. Ta panna mająca już lat dwadzieścia osiem, chuda i blada, była protegowaną pani Desforges, która zapragnęła ją umieścić jako sklepowę u Moureta, opowiadając rozczulającą historyę. Była to sierota, ostatnia z rodu de Fontenailles, starej szlachty z Poitou; spadła na bruk paryzki z ojcem pijakiem, pozostała jednak uczciwą. Odebrawszy bardzo niedostateczne wykształcenie, nie mogła być nauczycielką, ani dawać lekcyj muzyki. Mouret zżymał się, gdy mu zalecano panny ubogie z wyższego świata; twierdził, że to są istoty do niczego nieuzdolnione, nieznośne, mające fałszywe pojęcia; zresztą nie można się stać w jednej chwili sklepową; trzeba pewnego przygotowania: to fach skomplikowany i subtelny. Jednakże przyjął

protegowaną pani Desforges i umieścił ją przy próbkach, również jak umieścił dla zadośćuczynienia prośbom swych przyjaciół, dwie hrabianki i jedną baronównę w oddziale publikacyj, gdzie robiły opaski i koperty. Panna de Fontenailles, zarabiała trzy franki dziennie, tyle tylko, żeby mogła żyć i mieszkać w małym pokoiku przy ulicy d'Argenteuil. Smutna jej fizyonomia i ubogie ubranie, zraniły serce Józefa, kryjącego tkliwe usposobienie pod żołnierską sztywnością. Nie przyznawał się do tego, ale się czerwienił, gdy się panny od konfekcyj zeń śmiały. Oddział próbek znajdował się obok ich sali, zauważyły więc, że się ciągle przechadza koło drzwi.

— Józef rozogniony — mówiła z cicha Klara— ciągle się zwraca ku oddziałowi bielizny.

Przywołano tam pannę de Fontenailles dla spisu inwentarza w kantorze wypraw ślubnych. Ponieważ Józef ciągle rzucał okiem w tamtą stronę, sklepowe śmiać się zaczęły. Zmieszany tem biedak, pogrążył się w swych papierach; Małgorzata zaś dla przytłumienia dławiącego ją śmiechu, wykrzykiwała coraz głośniej:

— Czternaście żakietek z sukna angielskiego, drugiej wielkości, po piętnaście franków.

Pani Aurelia, wyliczająca rotondy, nie mogąc słyszeć samej siebie, powiedziała z urazą i majestatycznym głosem:

— Ciszej trochę, moja panno! Nie jesteśmy na rynku. Wszystkieście nierozsądne, oddając się żarcikom, kiedy czas tak drogi.

Właśnie w tej chwili, ponieważ Klara odbiegła od roboty, nastąpił wypadek. Stosy płaszczyków zsunęły się ze stołów i padając, zasłały cały dywan.

— A co nie mówiłam! — wykrzyknęła *Starsza*, nieposiadając się ze złości.—Proszę być uważniejszą, panno Klaro, bo to już nie do zniesienia!

Lecz nowe wrażenie nastąpiło: nagle zjawili się Mouret z Bourdonclem, odbywając przegląd magazynów. Głosy znów się podniosły, pióra zaskrzypiały, Klara z pośpiechem uprzątała okrycia. Pryncypał nie przerywał roboty. Zatrzymał się przez kilka minut, milczący i uśmiechnięty, usta mu tylko drgały na twarzy wesołej i zwycięzkiej, jaką miewał zazwyczaj w dzień spisywania inwentarza. Spostrzegłszy Dyonizę, widocznie zdumiał. A więc zeszła? Spotkał się oczkami z panią Aurelią i po chwili wahania, przeszedł do oddziału wypraw.

Dyoniza zauważywszy lekki jakiś szmer, podniosła głowę, lecz na widok Moureta, zajęła się zaraz pisaniem. To machinalne spisywanie towarów, uspokoiło ją zupełnie. Znowu uległa ona pierwszemu napadowi rozczulenia, łzy ją dławiły, namiętność wzmagała cierpienie. Poczem odzyskiwała rozsądek, spokój, odwagę i siłę woli łagodnej i niezłomnej zarazem. Z przejrzystem

okiem, bladą cerą, bez najmniejszego dreszczu, oddaną była robocie, postanawiając przezwyciężyć się, chociażby jej serce miało pęknąć.

Wybiła dziesiąta; zgiełk nieodstępny od spisywania inwentarza wzrastał, wśród ogólnego ruchu w oddziałach. Pośród krzyżujących się krzyków, świeża nowina wszędzie się wciskała ze zdumiewającą szybkością. Wszyscy subiekci już wiedzieli, że Mouret pisał do Dyonizy, zapraszając ją na obiad. Tajemnicę tę zdradziła Paulina: schodząc na dół, wzburzona rozmową z Dyonizą, spotkała Delochea przy koronkach i nie zważając na to, że Liénard słucha, ulżyła sercu.

— Stało się, mój kochany, otrzymała od niego list z zaproszeniem na dzisiejszy obiad.

Deloche zbladł. Zrozumiał odrazu, bo często zapytywał o to Paulinę. Codzień rozmawiali o swej przyjaciółce, o uczuciu dla niej Moureta i nakoniec o sławnych zaprosinach, które prędzej czy później rozwiążą intrygę. Zresztą łajała go często za tajoną miłość dla Dyonizy, od której nic nie otrzyma w zamian, nawet małego paluszka. Skoro pochwalał, że się Dyoniza opiera pryncypałowi, wzruszała tylko ramionami.

— Zdrowsza jest na nogę i zaraz zejdzie. Porzućże pan tę pogrzebową minę... Dla niej to szczęście, co ją dziś spotyka — rzekła nakoniec i pospieszyła do swego oddziału.

— Więc to mowa o tej panience z wywichniętą nogą—powiedział Liénard.—Miałeś racyę bronić jej tak gorąco w kawiarni.

Powiedziawszy to uciekł; lecz nim doszedł do kanin wełnianych, po drodze opowiedział tę historyę, trzem czy czterem subiektom. Ztamtąd w ciągu dziesięciu minut, wieść o liście obiegła wszystkie magazyny.

Ostatni frazes Liénarda, odnosił się do awantury, jaka zaszła poprzedniego dnia w kawiarni Ś-go Rocha. Obecnie Deloche i Liénard byli z sobą nierozłączni. Pierwszy z nich najął w hotelu Smyrneńskim pokój po Hutinie, który otrzymawszy awans na *drugiego*, wynajął mieszkanie z trzech pokoi; dwaj ci subiekci przychodzili razem co rana do magazynu i wieczorem czekali też jeden na drugiego, aby wespół odejść. Okna ich pokoi stykały się z sobą, wychodziły na podwórko ciemne i ciasne jak studnia, z którego zapowietrzone wyziewy rozchodziły się po całym hotelu. Żyli oni z sobą zgodnie, pomimo różnicy temperamentów. Liénard przejadał lekkomyślnie pieniądze przysyłane mu przez ojca, drugi zaś zawsze bez grosza, dręczony był myślą o oszczędności. Mieli jednakże jeden rys wspólny: niezdarność do sprzedawania, z przyczyny której wegetowali w kantorze bez podwyżki pensyi. Po wyjściu z magazynu, przesiadywali najczęściej w kawiarni Ś-go Rocha. W ciągu dnia było tam pusto, lecz około wpół do dziewiątej napływała

fala kantorzystów handlowych. Od tej chwili napełniał ją ogłuszający hałas gry w domino, śmiechu, pisku, pośród gęstego dymu z fajek. Piwo i kawa płynęły potokami. W kąciku na lewo Liénard kazał sobie podawać zbytkowne potrawy, Deloche zaś zadawalniał się kuflem piwa, który pił całe cztery godziny. Tam to Deloche posłyszał jak Favier przy sąsiednim stole opowiadał bezeceństwa o Dyonizie, jakoby „zjednała" sobie pryncypała, unosząc spódniczki, kiedy szła przed nim po wschodach. Byłby go chętnie spoliczkował, powstrzymał się jednakże; lecz kiedy Favier w dalszym ciągu opowiadał, że mała co noc chodzi do swego kochanka, rozwścieklony, nazwał go łgarzem.

— Co za podły człowiek... on łże... łże... słyszycie panowie!

I opanowany wzruszeniem, jąkając się, zaczął się wywnętrzać, dla ulżenia sercu.

— Ja ją znam, wiem o niej wszystko... Miała skłonność tylko do jednego Hutina; ale on tego nie spostrzegł i nie może się pochwalić, żeby jej dotknął, choćby końcem palcy.

Opowiadano sobie tę kłótnię z różnemi dodatkami, która bawiła cały magazyn, kiedy znowu zaczęła kursować wieść o liście Moureta. Liénard udzielił jej najpierw subiektowi od jedwabi, gdzie inwentarz postępował szybko. Favier z dwoma subiektami stojąc na ławkach, podawali brane z półek sztuki jedne po drugich Hutinowi, który

stojąc pośrodku przy stole, wykrzykiwał cyfry, rozpatrując etykiety, a potem rzucał materye na ziemię. Inni zapisywali; Albert Lhomme dopomagał w pracy, nosząc na twarzy ślady nocy, spędzonej na karczemnym balu w Batignolles. Pas światła słonecznego wpadał przez oszklenie halli z po za którego widać było gorący błękit nieba.

— Spuśćcież rolety — krzyczał Bouthemont, pilnie zajęty nadzorem. — To słońce jest nie do zniesienia.

Favier sięgając po wysoko lężącą sztukę, mruknął:

— Czy się to godzi zamykać ludzi w taką piękną pogodę! Deszcz z pewnością nie spadnie w dzień inwentarza!... Trzymają nas tu pod kluczem jak galerników, podczas kiedy cały Paryż używa przechadzki.

Podał sztukę Hutinowi. Na etykiecie wypisywano zmniejszoną miarę, po każdej sprzedaży, co bardzo uproszczało robotę. Hutin wykrzyknął:

— Materya fantazyjna w drobne kwiatki, dwadzieścia jeden metrów, po sześć pięćdziesiąt.

I sztuka padała na ziemię, powiększając stos. Potem kończył rozmowę, rozpoczętą z Favierem.

— Cóż dalej... chciał cię obić?

— A tak. Piłem najspokojniej swój kufelek piwa... Warto też było zadawać mi fałsz, kiedy ona odebrała dziś list od pryncypała, zapraszający na obiad... Cały magazyn o tem mówi.

— Jakto! więc to nie nastąpiło dawniej?

— I ty się dziwisz? Wszyscy byliśmy najpewniejsi, że to stara historya.

Favier podał mu nową sztukę.

— Toż samo, dwadzieścia pięć metrów — krzyczał Hutin.

Dał się słyszeć łoskot padającej sztuki; on zaś dodał ciszej:

— Jak wiadomo, rozpoczęła wesołe życie u tego waryata Bourrasa.

Cały oddział bawił się tą historyą, chociaż robota ani na chwilę nie ustawała. Podawano sobie półgłosem imię młodej dziewczyny; grzbiety się nachylały, nosy węszyły nowinę. Bouthemont nawet, który lubił zabawne przygody, nie mógł się powstrzymać od żartu niesmacznego, z którego sam się uśmiał. Albert przysięgał, że widział *drugą* z konfekcyj, pomiędzy dwoma wojskowymi w Gros-Caillou. W tej 'chwili Mignot schodził z góry z uciułanemi dwudziestu frankami, zatrzymał się minutę i wsunął w rękę Alberta dziesięć franków, naznaczając mu schadzkę na wieczór. Była to z dawna ułożona hulanka, która omal że nie przepadła dla braku pieniędzy, lecz obecnie stała się możebną, chociaż fundusze były szczupłe. Piękny Mignot, dowiedziawszy się o liście, pozwolił sobie na tak grubiańską uwagę, że się aż Bouthemont wdał:

— Dosyć tego, panowie! To do nas nie należy... Dalej, dalej, panie Hutin!

— Materya fantazyjna, w drobne kratki, trzydzieści dwa metry, po sześć pięćdziesiąt.

Pióra znów się poruszyły, sztuki padały miarowo, ale przypływ ich tak się zwiększał, jak gdyby rzeka przerwała tamę. Wygłaszanie materyj fantazyjnych nie ustawało. Favier zauważył półgłosem, że jest ich piękny zapas, dyrekcya musi być zadowolona. Ten głupi Bouthemont jest niezaprzeczenie pierwszym w Paryżu co do kupna ale jak idzie o sprzedaż, pewno nie ma niezdarniejszego. Hutin uśmiechał się figlarnie, zadowolony i stwierdzający słowa mówiącego przyjaznem spojrzeniem — on sam wprowadził Bouthemonta do Magazynu Nowości, ażeby wysadzić Robineau, obecnie zaś, kopał pod nim dołki, aby zająć jego miejsce. Była to taż sama wojna, co pierwej; zdradzieckie insynuacye szeptane na ucho *starszym* i przesadna gorliwość, w celu zwrócenia na siebie uwagi: cała kampania podstępna i skryta. Jednakże Favier, któremu Hutin na nowo okazywał przychylność, patrzał nań z pod oka, chudy i zimny z żółciową twarzą, jak gdyby kolegę dzielił na kęsy, rozważając kiedy on też zje Bouthemonta, by zająwszy miejsce drugiego subiekta, sam go zaczął znów pożerać. — Spodziewał się otrzymać to miejsce, gdy tamten zostanie naczelnikiem oddziału. Co dalej będzie, to przyszłość pokaże. Obaj ogarnięci gorączką całego magazynu o dopuszczanych podwyżkach, nie przestając obwoływać zapasów materyj fanta-

zyjnych. Obliczano, że Bouthemont w tym roku dojdzie do trzydziestu tysięcy franków; Hutin do dziesięciu tysięcy przeszło; Favier z pensyą i tantyemą do pięciu tysięcy pięciuset franków.

Z każdym rokiem sprzedaż zwiększała się w tym oddziale; subiekci awansowali i podwajali swą płacę, jak oficerowie w czasie wojny.

— Cóż to, jeszcze nie ma końca z temi jedwabiami?—spytał nagle Bouthemont z miną rozdrażnioną. Wprawdzie osobliwa była wiosna, ciągłe deszcze padały; kupowano tylko czarne materye.

Jego mięsista i uśmiechnięta twarz, zasępiła się, gdy patrzał na zwiększające się stosy na ziemi, a Hutin coraz głośniej powtarzał głosem donośnym, w którym przebijał tryumf.

— Materya fantazyjna, w drobne kratki, dwadzieścia osiem metrów, po sześć sześćdziesiąt!

Cała szafa była jeszcze pełna. Favier mając zmęczone ręce, stawał się coraz powolniejszy. Podając nareszcie Hutinowi ostatnie sztuki, szepnął z cicha:

— Ach! zapomniałem ci powiedzieć. Czyś słyszał, że ta *druga* od konfekcyj, kochała się w tobie?

Młodzieniec zdawał się tem mocno zdziwiony.

— Doprawdy? zkądże to wiesz?

— Ten głupi Deloche nam to wyśpiewał, ale sam pamiętam, że niegdyś ona miała chrapkę na ciebie.

Odkąd Hutin został *drugim*, porzucił śpiewaczki kawiarniane i umizgał się do guwernantek. —

Chociaż mu ta wiadomość pochlebiała, odrzekł z wzgardliwą miną:

— Ja lubię tłuściejsze, mój kochany, zresztą któżby się wdawał z pierwszą lepszą, jak nasz prynoypał.

Przerwał tę rozmowę, aby zawołać:

— Białe *poult de soie*, trzydzieści pięć metrów po osiem siedemdziesiąt pięć!

— A! nareszcie — szepnął ucieszony Bouthemont.

Lecz w tej chwili dzwonek powołał do drugiego stołu. Favier więc zeskoczył ze stołka, ustępując miejsca innemu; musiał on przełazić przez stosy sztuk, które się jeszcze zwiększyły na ziemi. Obecnie we wszystkich oddziałach towary zalegały podłogę; pułki, pudła, szafy powoli opróżniały się, a towary wydobywane zewsząd, plątały się pod nogami. W oddziale białych towarów, dawało się słyszeć ciężkie spadanie sztuk perkali; u drobiazgów, rozchodził się łoskot pudełek; u mebli zaś zdawało się że grzmi, takie było ciągłe przesuwanie. Wszystkie głosy dawały się słyszeć jednocześnie, cyfry syczały, zapełniając powietrze, ogromną nawę napełniał szum, tak jak w lesie w miesiącu styczniu, kiedy wiatr gałęźmi szeleści.

Favier, wybrnąwszy nakoniec, ujrzał się na wschodach do refektarza. Od czasu powiększenia Magazynu Nowości, jadalnie znajdowały się na czwartem piętrze, w nowych budynkach. Spiesząc

się dogonił Deloche'a i Liénarda, którzy pierwej wyszli i natknął się na Mignota, idącego za nim.

— Tam do dyabła! — powiedział w korytarzu kuchennym, stojąc przed czarną tablicą, mieszczącą jadłospis; — widać że się dziś robi inwentarz. Prawdziwe gody! kurczę albo zraziki z baraniny i karczochy w oliwie!

Mignot drwił po cichu:

— Musi być jakaś choroba na drób.

Tymczasem Deloche i Liénard wzięli swoje porcye i odeszli. Favier schyliwszy się przed okienkiem, zawołał głośno:

— Proszę o kurczę!

Lecz musiał czekać, bo chłopiec krający pieczyste, skaleczył sobie palce, co sprawiło zamieszanie w kuchni. Z głową wsuniętą w okienko czekał, przyglądając się kuchni olbrzymiej, z centralnym piecem, zkąd po dwóch relsach, ułożonych w górze, z pomocą systematu bloków i łańcuchów, wysuwały się kolosalne rądle, których czworo ludzi nie mogło udźwignąć. Kucharze w białem ubraniu, na czerwonem tle ogniska, doglądali zupy wieczornej, stojąc na żelaznych drabinach, uzbrojeni w warząchwie osadzone na końcu długich kijów. Przy ścianie stały ogromne ruszty, na których można było piec męczenników, rądle zdolne pomieścić w sobie całego barana, monumentalne wygrzewacze talerzy, wanna marmurowa, do której spadał ciągle strumień wody. Na lewo widać było zmywalnie, zlewy wyłożone

kamieniem, szerokie jak stawy na rybę; z drugiej zaś strony na prawo, widać było czerwone sztuki mięsa, zawieszone na hakach stalowych. Maszyna do obierania kartofli była w ruchu i dudniała jak młyn, dwa małe wózki z oczyszczoną sałatą, ciągnione przez kuchcików, podjeżdżały pod wodotrysk.

— Proszę o kurczę! Powtórzył zniecierpliwiony Favier. Potem, odwracając się dodał z cicha:

— Jeden z nich skaleczył się; to obrzydliwe, krew wsiąka w potrawę.

Mignot chciał zobaczyć. Po za nimi szereg subiektów zwiększał się, wśród śmiechów i potrącania. Dwaj młodzieńcy, z głowami w okienku, udzielali sobie różnych uwag, tyczących się kuchni, tego falansteru, gdzie zwykłe, pomniejsze naczynia: jak rożny i patelnie były olbrzymie. Co dzień wydawano dwa tysiące śniadań tyleż obiadów; trzeba dodać, że liczba subiektów co tydzień się powiększała. Była to przepaść pochłaniająca dziennie: szesnaście hektolitrów kartofli, sto dwadzieścia funtów masła, ośmset kilogramów mięsa. Do każdego śniadania i obiadu, wychodziły trzy beczki wina, zawierające sto litrów.

— A, nakoniec; — powiedział Favier, skoro się kucharz zbliżył z naczyniem i schwycił na widelec udko kurczęcia, aby mu je podać.

— Kurczę! — zawołał za nim Mignot.

Obaj z talerzem w ręku, weszli do refektarza, wziąwszy swoje porcye wina przy kredensie.

Tymczasem przy okienku proszono ciągle i nieodmiennie o kurczę i bezustanku słychać było szybki i miarowy sztuk widelcem, kucharza rozdzielającego porcye.

Obecnie refektarz subiektów, znajdował się w ogromnej sali, w której stoły na pięćset nakryć, dla trzech seryj obiadujących, wygodnie mogły się pomieścić. Nakrycia te ustawione były w prostych liniach, na stołach mahoniowych, stojących równolegle, na szerokość sali, po dwu jej końcach. Podobnież stoły przeznaczone były dla inspektorów i naczelników oddziałowych, a na środku stał kontuar dla dodatkowych nakryć. Wielkie okna z prawej i z lewej strony oświecały tę galeryę, której sufit, pomimo wysokości na cztery metry, wydawał się nizki, tak go pochłaniały ogromne rozmiary sali. Wzdłuż ścian malowanych na jasnożółty kolor, pułki na serwety, stanowiły jedyną ozdobę jadalni. W dalszym ciągu refektarza, znajdowały się jadalnie garsonów sklepowych i furmanów; tam nie było pory oznaczonej na posiłek, lecz podawano go w miarę potrzeby.

— Jakto i ty Mignot dostałeś udko? — powiedział Favier, usiadłszy przy stole naprzeciw kolegi.

Inni subiekci rozsiedli się koło nich. Nie było obrusa, talerze postukiwały więc o mahoń, wszyscy w tym kącie wydawali okrzyki zadziwienia, bo liczba udek była rzeczywiście zdumiewająca.

— Dziwny drób, który ma tylko łapki — zauważył Mignot.

Ci, którym dostały się grzbiety, dąsali się. Z tem wszystkiem pożywienie znacznie było lepsze, od czasu nowego urządzenia. Mouret już nie wchodził w umowę z przedsiębiorcą, za sumę oznaczoną; lecz sam zarządzał kuchnią. Zaprowadził tam służbę organizowaną na wzór oddziałów, mającą naczelnika, podstarszego i inspektora; wprawdzie kosztowało go to więcej, ale za to personel dobrze żywiony, zdolniejszy okazywał się do pracy. Było to wyrachowanie praktyczno-humanitarne, które przez długi czas korciło Bourdoncle'a.

— Trzeba jednak przyznać, że to udko jest dobrze upieczone, — rzekł Mignot — proszę o chleb.

Ogromny bochen chleba, obchodził wszystkich kolejno; gdy kto ukrajał sobie kawałek wsadził weń nóż.

Maruderzy przybiegali jeden po drugim; wszyscy zasiedli z ogromnym apetytem; tem więcej że pracowali od rana. Coraz głośniej słychać było szczęk widelcy, bulkotanie wypróżnianych butelek, brzęk szklanek, zbyt mocno stawianych i szmer pięciuset szczęk, energicznie żujących. Rzadkie jeszcze słowa wychodziły z pełnych ust.

Deloche, siedzący pomiędzy Baugé i Liénardem, znalazł się prawie naprzeciw Faviera o kilka miejsc tylko dalej. Obaj zamienili z sobą niechętne spojrzenia. Sąsiedzi świadomi ich kłótni

z dnia poprzedniego, szeptali pomiędzy sobą. Potem wyśmiewali się z niepowodzenia Deloche'a, który będąc zawsze zgłodniały, natrafiał dziwnem zrządzeniem losów, na najgorsze kawałki z całego stołu. Tym razem przyniósł szyję i część grzbietu kurczęcia. Pozwalał on z siebie żartować nic nie mówiąc i ogromne kawały chleba, pożerał tylko, ciągle obierając szyję z mięsa, z wielkim talentem, jako człowiek znający się na jego wartości.

— Dla czego nie upomnisz się za sobą, — odezwał się Baugé?

Lecz wzruszył tylko ramionami. Na cóż by się to zdało? Ile razy się zbuntował, wyszedł na tem jeszcze gorzej.

— Czy wiecie, że nasi szpulkowicze mają obecnie swój klub; — zaczął nagle opowiadać Mignot. Tak, tak, szpulkowy klub. Zgromadzają się w handlu, wiesz na ulicy Saint-Honoré, który im na soboty wynajmuje salę.

Mówił on o subiektach z oddziału tak zwanej Norymberszczyzny. Opowiadanie to rozweseliło cały stół. Pomiędzy dwoma kęsami, każdy z pełnemi usty dorzucał jaki frazes, jaki szczegół; tylko czytający zachowywali martwe milczenie, siedząc z nosami pogrążonemi w dziennikach. Zauważono powszechnie, że się kantorzyści z każdym rokiem więcej cywilizują. Prawie połowa z nich mówi obecnie po niemiecku lub po angielsku *Chic* nie zależy już na awanturowaniu się u Bullier'a

i odwiedzaniu kawiarń koncertowych, ażeby wygwizdać brzydkie śpiewaczki. Bynajmniej, zbierają się we dwudziestu i zakładają „koło".

— Czy mają fortepian, tak jak płócienniki? — spytał Liénard.

— Jakto, w klubie szpulkowym, nie miałoby być fortepianu! — wykrzyknął Mignot, — a jakże—jest, grają i śpiewają... a nawet jeden z pomiędzy nich, mały Bavoux, deklamuje wiersze.

Wesołość wzrastała: szydzono z małego Bavoux, jednakże imponował im ten klub. Następnie rozprawiano o sztuce z Vodewilu, gdzie jakiś perkalik odgrywał brzydką rolę; jedni odzywali się o tem z oburzeniem, inni niepokoili się o której godzinie ich też zwolnią; zamierzali bowiem spędzić wieczór w gościnie. W całej tej ogromnej sali toczyły się podobne rozmowy, wśród hałasu i brzęku talerzy.

Ażeby się pozbyć woni jedzenia i ciepłej pary ulatującej z pięciuset talerzy, otwarto okna, przy których opuszczone rolety, ogrzane były żarem sierpniowym. Gorące powiewy wpadły z ulicy, złote odbłyski odbijały się na suficie i rudawem światłem oblewały spoconych biesiadników.

— No i proszę, czy się to godzi zamykać ludzi w niedzielę i w taką pogodę? — powiedział Favier.

Uwaga jego zwróciła ogólną rozmowę do inwentarza... rok ten był bardzo pomyślny. Nastąpiła potem kwestya paląca podwyższek i pensyj

zawsze tak bywało w dnie kiedy podawano drób; towarzyszyło mu pewne podbudzenie i hałas nie do zniesienia. Skoro garsoni wnieśli karczochy w oliwie, nie można się już było słyszeć, ale inspektor dežurny miał nakazaną pobłażliwość.

— Ale, ale, czy wiecie o awanturze? — spytał Favier.

Lecz Mignot przerwał mu pytaniem:

— Może kto nie lubi karczochów? Sprzedaję wety za karczocha!

Nie było odpowiedzi: wszyscy lubili karczochy. Śniadanie to zaliczało się do dobrych, widziano bowiem morele na wety.

— Zaprosił ją na obiad, mój kochany; — mówił Favier do swego sąsiada z prawej strony, kończąc swe opowiadanie. Jakto, nie wiedziałeś?

Cały stół już wiedział; gadano o tem od rana, aż do znudzenia. Zawsze jedne i też same żarty, przechodziły z ust do ust. Deloche znowu zbladł. Patrzył na nich... nakoniec oczy jego zatrzymały się na Favierze, który uporczywie powtarzał:

— Jeżeli jej dotąd nie miał, to teraz mieć będzie... I nie on pierwszy, o że nie, to nie!

On również patrzał na Deloche'a z miną wyzywającą.

— Kto lubi kości, może ją dostać za sto sous.

Nagle uchylił głowę. Deloche, ulegając gwałtownemu popędowi, cisnął mu w twarz szklanką wina, jąkając:

— Masz, bezecny łgarzu; trzeba mi było spoliczkować cię wczoraj.

Był to skandal. Kilka kropel wina, bryznęło na sąsiadów Faviera, którego włosy były tylko trochę zmoczone: wino ciśnięte zbyt silną ręką, wpadło na drugą stronę stołu. Oburzenie było wielkie: Czy żyje z nią, że jej tak broni? Co za grubianin! Wartoby go obić, aby się nauczył przyzwoitego zachowania. Jednakże przyciszyli głosy gdyż dano znać, że inspektor nadchodzi, — a niechcieli żeby się zarząd wdał w tę ich kłótnię. Favier rzekł tylko półgłosem:

— Żeby był trafił we mnie, zobaczylibyście wówczas hecę.

Skończyło się na żartach; skoro Deloche, drżący jeszcze chciał się napić, aby ochłonąć i machinalnie wziął próżną swą szklankę, powstał ogólny śmiech. Zawstydzony, postawił ją i począł ssać listki zjedzonych już karczochów.

— Podajcie Deloche'owi karafkę; jemu się chce pić — powiedział Mignot.

Śmiechy się wznowiły. Panowie brali czyste talerze, ze stosów rozstawionych na stole, w pewnej od siebie odległości, a służba roznosiła morele w koszykach na wety. Wszyscy się trzymali za boki, gdy Mignot dodał:

— Każdy ma swój gust, Deloche zjada morele z winem.

Deloche siedział nieruchomy z głową spuszczoną, udawał, że nic nie słyszy, mocno żałując swe-

go postępku. — „Oni mają słuszność, myślał, jakiem prawem jej broniłem? Pewno zaczną rozgłaszać tysiące szkaradnych plotek". — Byłby się chętnie obił za to, że chcąc uniewinnić tak ją skompromitował. — „Takie to moje szczęście, lepiej skończyć raz życie, bo nie mogę nawet uledz sercu, ażeby jakiego głupstwa nie popełnić." Łzy stanęły mu w oczach. — „Czyż to nie z mojej winy cały magazyn gada o liście pryncypała? Słyszał doskonale jak w dosadnych wyrazach żartowali z tych zaprosin, o których tylko jeden Liénard powinien wiedzieć. Oskarżał się o to, że pozwolił Paulinie mówić w jego obecności. Czuł się odpowiedzialnym za jej niedyskrecyę.

— Dla czegoś to rozgłosił? — szepnął nakoniec złamanym głosem. To bardzo niedobrze.

— Ja, — odpowiedział Liénard — ależ ja tylko dwom czy trzem osobom powiedziałem o tem, prosząc o sekret... Takie rzeczy rozchodzą się jakimś niewidzialnym sposobem.

Skoro Deloche wypił nakoniec szklankę wody, cały stół wybuchnął śmiechem. Śniadanie kończyło się, subiekci rozparci na krzesłach, oczekiwali dzwonka i przemawiając zrzadka jeden do drugiego, odpoczywali po jedzeniu. Przy wielkim kontuarze mało spotrzebowano dodatków, gdyż w ten dzień, magazyn płacił za kawę. Filiżanki się dymiły, spocone twarze błyszczały pod lekkiemi wyziewami, unoszącemi się jak obłok dymu z papierosów. U okien sztory wisiały nie-

ruchomo, gdy jeden z nich uniósł się, pas słońca przeniknął do sali, zaogniając sufit. Szmer głosów, obijał się o ściany tak ogłuszająco, iż z początku słychać było dzwonek tylko przy stołach bliżej drzwi stojących. Gdy wszyscy powstali, korytarze przez długi czas napełnione były tłumem przechodzących.

Deloche pozostał w tyle, by uniknąć żarcików, jakie sobie z niego strojono. Nawet Baugé wyszedł przed nim, chociaż zwykle salę opuszczał ostatni, nakładając potem drogi, aby się spotkać z Pauliną, idącą do refektarza kobiecego. Było to umówione między nimi, gdyż w ten tylko sposób mogli się zobaczyć na chwilę w ciągu godzin poświęconych pracy. Lecz tego dnia właśnie, kiedy się w korytarzu całowali w najlepsze, nadeszła Dyoniza, która szła na śniadanie, stąpając z trudnością z powodu bolącej nogi.

— Ach moja droga, — wyjąknęła Paulina zaczerwieniona — nikomu nie powiesz, prawda?

Baugé, ten człowiek atletycznej budowy, drżąc jak dziecko, szeptał:

— Wypędziliby nas z pewnością. Chociaż jest to już wiadome, że się mamy pobrać; te zwierzęta nie darowałyby nam tego, że się całujemy.

Dyoniza wzburzona niespodziewanym widokiem, udała że nic nie rozumie. Baugé umknął, kiedy nadszedł Deloche, ciągle jeszcze ociągający się. Chciał się uniewinniać, zaczął bełkotać tak, że zrazu Dyoniza nic nie pojmowała, dopiero gdy

wymawiał Paulinie, że powiedziała przed Liénardem, ona zaś strasznie się zmięszała, otworzyły jej się oczy, dla czego cały ranek szeptano po za jej plecami. To o liście krążyła historya. Dreszcze znów ją przeszły, tak jak w chwili gdy go jej oddano, wiedziała bowiem, że wszyscy ci panowie, niedelikatne uwagi o niej robią.

— Ja nic nie wiedziałam — powtarzała Paulina. Zresztą cóż jest w tem złego... Niechaj sobie gadają, rozumie się że ich to gorączkuje!

— Moja kochana — odezwała się nakoniec Dyoniza ze zwykłym rozsądkiem — nie mam wcale do ciebie żalu, wszakże powiedziałaś prawdę. Otrzymałam list i do mnie należy nań odpowiedzieć.

Deloche oddalił się wzburzony, zrozumiawszy rzecz w ten sposób, że wieczorem Dyoniza uda się na schadzkę.

Obie zjadły śniadanie w pokoju przyległym do wielkiej sali, gdzie kobiety były obsługiwane z większym komfortem. Paulina musiała dopomódz zejść Dyonizie, tak ją noga bolała.

Na dole, wśród skwaru popołudniowego, inwentarz szedł mocniej. Była to chwila, kiedy wszyscy natężali siły, aby ukończyć przed wieczorem mało posuniętą robotę. Krzyczano jeszcze głośniej, widać tylko było poruszające się ręce, które wypróżniały pułki; nie można już było chodzić, bo stosy zrzuconych na ziemię towarów, sięgały kontuarów. Pośród wrzawy i zamieszania,

majaczyły zdaleka szeregi głów i wyciągniętych rąk. Były to ostatnie drgania maszyny. Tymczasem zaś wzdłuż matowych szyb, dokoła zamkniętego magazynu, snuli się nieliczni przechodnie zmęczeni dusznym dniem. Na chodniku ulicy Neuve-Saint-Augustin, trzy wielkie dziewczyny z gołemi głowami stanęły, zaglądając przez okna, co się tam osobliwego dzieje.

Kiedy Dyoniza wróciła do konfekcyi, pani Aurelia kazała Małgorzacie skończyć samej wyliczanie ubrania. Musiała jeszcze sprawdzić rachunki, aby mieć do tego zajęcia należyty spokój, udała się wraz z Dyonizą do sali próbek.

— Chodź pani ze mną, — rzekła — zbierzemy wszystkie, a potem je obliczysz.

Lecz ponieważ chciała zostawić drzwi otwarte, ażeby mieć dozór nad pannami, dochodziła taka wrzawa, że nie można było nic słyszeć. Była to rozległa kwadratowa sala, w której stały tylko krzesła i trzy długie stoły. W kącie zaś ustawione były wielkie mechaniczne noże, dla krajania próbek. Całe sztuki krajały się tam na paski, ekspedyowano ich rocznie przeszło za sześćdziesiąt tysięcy franków. Od rana do nocy, noże cięły jedwabne materye, wełniane tkaniny i płótno, z brzękiem kos. Potem układano z nich książeczki, zszywano lub klejono. Pomiędzy oknami znajdowała się mała drukarnia dla odbijania etykiet.

— Ciszej! — wołała od czasu do czasu pani Aurelia, nie mogąc słyszeć czytania Dyonizy.

Gdy pierwsze spisy były już gotowe, pozostawiła ją przy stole, pogrążoną w dodawaniu. Lecz niezadługo znowu się zjawiła, sadzając przy niej pannę de Fontenailles, która w wyprawach nie była już potrzebną. Miała ona też dodawać dla przyśpieszenia roboty. Zjawienie się markizy, jak ją złośliwie przezwała Klara, poruszyło cały oddział. Śmiano się, przedrwiwano Józefa, dotkliwe słowa dochodziły przezedrzwi.

— Proszę się nie usuwać, pani mi wcale nie przeszkadzasz — powiedziała Dyoniza, zdjęta wielką litością. Możemy obie korzystać z jednego kałamarza.

Panna de Fontenailles, zniedołężniona przez swój upadek, nie zdobyła się nawet na podziękowanie. Musiała pić. chuda jej twarz, miała bowiem barwę ołowianą, jedne tylko ręce białe i delikatne, zdradzały jeszcze wysokie pochodzenie.

W jednej chwili jednakże śmiechy ucichły, wzięto się gorliwie do pracy... gdyż ukazał się Mouret, obchodzący znowu oddziały. Ale stanął zdziwiony, że nie widzi Dyonizy. Znakiem przywołał panią Aurelię i oboje, usunąwszy się na bok, szeptali z sobą przez chwilę.

Musiał ją o coś wypytywać, bo oczami wskazała na salę próbek, poczem zdawało się, że mu z czegoś zdaje sprawę, zapewne opowiadała mu, że dziewczyna płakała zrana.

— Bardzo dobrze—powiedział on głośno, zbliżając się.—Proszę mi spisy pokazać.

— Bądź pan łaskaw wejść tutaj — rzekła *starsza.*—Uciekłyśmy od hałasu.

Poszedł za nią do sąsiedniego pokoju. Klara doskonale zrozumiawszy o co chodzi, powiedziała, iż najlepiejby zaraz posłać po *łóżko.* Lecz Małgorzata prędzej ciskała jej okrycia, żeby ją zająć i zamknąć jej usta. Alboż *druga* nie jest dobrą koleżanką? nikt nie miał prawa mieszać się do jej interesów, — oddział stawał się jakby współuczestnikiem, sklepowe uwijały się żwawiej, a Lhomme i Józef udawali ślepych i głuchych. — Inspektor Jouve zauważywszy taktykę pani Aurelii, zaczął się przechodzić pode drzwiami sali próbek, miarowym krokiem szyldwacha, pilnującego, aby nikt nie przeszkadzał zwierzchnikowi.

— Proszę podać panu spisy—powiedziała wchodząc *starsza.*

Dyoniza podała je i nie spuściła potem oczu. Zrazu zadrżała nieco, lecz opanowała się prędko i blada jej twarz była zupełnie spokojna. Mouret przez chwilę zdawał się być pogrążony w czytaniu, nie patrzał na nią. W sali panowało milczenie. Pani Aurelia zbliżywszy się do panny de Fontenailles, która nawet nie odwróciła głowy, okazała niezadowolenie z rachunków, mówiąc półgłosem:

— Idź panna pomagać przy pakowaniu... bo nie jesteś biegła w rachunkach.

Ta podniosła się i wróciła do oddziału, gdzie ją przyjęto szeptami. Józef czując na sobie drwiące oczy panien, począł krzywo pisać. Klara uszczęśliwiona z przybywającej pomocnicy, poniewierała nią jednak przez nienawiść dla wszystkich kobiet pracujących w magazynie. „Cóż to za głupota stać się przedmiotem miłości parobka, kiedy się jest markizą!" Jednakże zazdrościła tej miłości.

Tymczasem pani Aurelia nie wiedziała pod jakim pozorem mogła wyjść z sali. Dreptała, oglądała noże mechaniczne, złoszcząc się, że jej mąż nie obmyśli sposobu wywołania jej; ale on nie ma instynktu do interesów pierwszej wagi, umiałby umrzeć z pragnienia, stojąc przy źródle. Małgorzata zdobyła się na rozum, prosząc o pewną informacyę.

— Idę natychmiast—odpowiedziała starsza.

Widząc godność swą ocaloną w oczach szpiegujących ją panien, pozostawiła nakoniec Moureta sam na sam z Dyonizą, zbliżywszy ich z sobą poprzednio. Miała w tej chwili swoją imperatorską minę, że panny nie odważyły się nawet uśmiechnąć.

Mouret złożył powoli spisy na stole. Patrzał na dziewczynę siedzącą z piórem w ręku. Nie odwracała ona oczu, tylko zbladła jeszcze więcej.

— Czy pani przyjdziesz wieczorem? — spytał się półgłosem.

— Nie, panie; nie mogę — odrzekła. — Bracia moi będą dziś na obiedzie u stryja i obiecałam połączyć się z nimi.

— Ależ noga, stąpasz trudno.

— O! dojdę szczęśliwie, od rana czuję się daleko lepiej.

Teraz on zbladł wobec tej spokojnej odmowy. Usta drgały mu nerwowo, ale się powściągał, rzekł więc z miną uprzejmego pryncypała:

— Agdybym o to prosił? Przecież wiesz pani jaki mam dla niej szacunek?

Dyoniza zachowała postać pełną poszanowania, mówiąc:

— Jestem wzruszoną dobrocią pana. Dziękuję za te zaprosiny, ale raz jeszcze powtarzam, że przyjąć nie mogę, gdyż bracia będą mię oczekiwali.

Ciągle udawała, że go nie rozumie. Drzwi były otwarte i czuła, że cały magazyn ją popycha ku niemu. Paulina po przyjacielsku nazwała ją głupią; inne szydzić z niej będą, jeżeli odrzuci zaprosiny. Pani Aurelia, która się usunęła, Małgorzata, która coraz głośniej krzyczała, Lhomme odwracający się dyskretnie—wszyscy pragnęli jej upadku i rzucali ją na pastwę pryncypałowi. Oddalony szmer inwentarza, te miliony towarów wykrzykiwanych, przerzucanych rękami, były jakby gorący wiatr, którego namiętny powiew dochodził aż do niej.

Zapanowało milczenie. Chwilami szum tłumił słowa Moureta.

— A więc kiedy pani przyjdzie? — zapytał znowu.

To proste pytanie zmieszało Dyonizę. Na chwilę utraciła swój spokój i wyjąkała:

— Nie wiem... nie mogę...

Uśmiechnął się i próbował ją wziąść za rękę, którą ona cofnęła.

— Czegoż się pani boisz?

Lecz ona podniosła zaraz głowę i patrząc mu prosto w oczy, powiedziała z odważnym i słodkim swym uśmiechem:

— Nie boję się niczego... Tylko każdy robi to co chce, nieprawda? Otóż ja — nie chcę.

Podczas gdy siedziała milcząca dał się słyszeć szelest, obróciwszy się, ujrzała drzwi zamykające się zwolna. Był to inspektor Jouve, do którego obowiązków to należało. Dokonawszy tego, zaczął poważnie znów się przechadzać, jakby na warcie. Zdawało się, iż nikt nie spostrzegł tego. Jedna tylko Klara szepnęła jakieś słówko pannie de Fontenailles, której ani jeden rys w twarzy nie poruszył się.

Dyoniza podniosła się jednak, a Mouret rzekł głosem cichym i drżącym:

— Pani, ja cię kocham... wiesz o tem oddawna, a więc nie igraj ze mną okrutnie, udając nieświadomość. Nie bój się niczego. Ze dwadzieścia razy chciałem cię już przywołać do mego gabinetu...

Byliśmy sami, potrzebowałbym tylko zasunąć drzwi. Lecz jak widzisz nie chciałem i odzywam się tu, gdzie każdy wejść może... kocham cię Dyonizo!

Z bladą twarzą słuchała go, patrząc mu ciągle w oczy.

— Powiedz mi pani, dlaczego się wzbraniasz? Alboż nie masz obowiązków? Bracia są dla ciebie ogromnym ciężarem. Wszystko o co poprosisz, wszystko czego zażądasz...

Powstrzymała go jednem słowem.

— Dziękuję, zarabiam obecnie więcej niż mi potrzeba.

— Ależ ja ci wolność ofiaruję, życie w zbytkach i rozkoszy. Stworzę twój własny świat, zabezpieczę mały majątek!

— Nie chcę, dziękuję, nudziłabym się próżnując. Od dziesiątego roku życia zarabiałam już na chleb.

Zrobił rozpaczliwy ruch, ona pierwsza mu się opierała. Aby posiąść, potrzebował tylko wyciągnąć rękę, inne bo oczekiwały jego kaprysu jak pokorne sługi; a ta mówiła „nie", nie pozorując tego niczem. Jego żądza, tak długo powstrzymywana, chłostana przez opór, doprowadziła go do szału; zdwajał swoje ofiary coraz więcej.

— Nie, nie, dziękuję — odpowiadała.

Wyrwał mu się wtedy z serca okrzyk:

— Czyż nie widzisz, że cierpię!... Tak cierpię jak dzieciak.

Łzy zwilżyły mu oczy znowu, nastało milczenie, słychać było po za drzwiami, zwalniający się zgiełk inwentarza. Był to jakby konający głos tryumfu, — jakby przez dyskrecyę cichszy akompaniament do tej porażki pryncypała.

— Gdybym chciał jednakże! — powiedział, chwytając ją porywczo za ręce.

Nie cofnęła ich, oczy się jej zamgliły, czuła iż ją siła opuszcza. Ciepło gorących jego rąk, udzielało się jej, przejmowało ją rozkosznem omdleniem. Mój Boże, jakże go ona kochała! i z jakiem uniesieniem rzuciłaby mu się na szyję, żeby pozostać na jego piersi.

— Ja pragnę tego, ja chcę — powtarzał odchodząc od siebie.—Czekam cię wieczorem, a gdybyś nie przyszła przedsięwezmę środki.

Stawał się brutalnym. Wydała słaby krzyk, uczuwszy ból w ściskanych rękach. Odzyskała odwagę. Jednem szarpnięciem, uwolniła się. Potem wyprostowana, poważna, rzekła:

— Nie, pozostaw mię pan w spokoju... Nie jestem jakąś Klarą, którą się nazajutrz porzuca. Zresztą, pan kochasz pewną osobę... tak, tę panią Desforges, co tu przychodzi. Pozostań pan z nią. Ja się dzielić nie chcę.

Osłupiał z zadziwienia. Co ona mówi i czego chce? Nigdy dziewczętom obieranym przezeń w oddziałach, nie chodziło o to, żeby je kochał.

Powinien roześmiać się z tego, lecz ta postawa dumna a tkliwa, do reszty mąciła mu serce.

— Otwórz pan drzwi, to nieprzyzwoicie, żeśmy tu sam na sam.

Usłuchał jej, z szumem w skroniach, nie wiedząc jak ukryć swe cierpienia, przywołał panią Aurelię, uniósł się gniewem z powodu wielkiego zapasu rotond; mówił, że trzeba zniżyć ceny i zniżać je póty, żeby ani jedna nie pozostała. Było to regułą magazynu: co rok wymiatano wszystko, sprzedawano ze stratą sześćdziesięciu procent, jedynie aby ani jeden stary model i ani jedna sztuka materyi wyszłej z mody, nie pozostała w magazynie. Bourdoncle, goniąc za Mouretem, czekał nań przez chwilę pod drzwiami zamkniętemi przez Jouve'a, który z miną poważną szepnął słówko na ucho. Zniecierpliwiony, nie śmiał jednak przerwać sam na sam dyrektora. „Czyż to podobna! w taki dzień... z tą nędzną dziewczyną.” Kiedy wyszedł nakoniec, Bourdoncle przystąpił i zaczął sprawozdanie o zbyt wielkich zapasach materyi fantazyjnych. Mouret doznał ulgi, mógł się wykrzyczeć do woli.

— Cóż to sobie myśli Bouthemont — zawołał i oddalił się, zapowiadając, iż nie ścierpi tego aby nabywający towary, pozbawiony był węchu i zaopatrywał magazyn nad potrzebę.

— Co się z nim stało? — pytała pani Aurelia zmieszana jego wymówkami.

Panny również ze zdumieniem spoglądały po sobie. O szóstej godzinie inwentarz był ukończony. Słońce jeszcze świeciło, to płowe letnie słońce, którego złote odblaski wpadały przez oszklenie hall. Wśród ciężkiego powietrza ulic, zmęczone rodziny powracały z przedmieść, z ogromnemi bukietami, ciągnąc dzieci za sobą. Oddziały milkły jeden po drugim. W galeryi słychać było jeszcze spóźnione wygłaszanie; kilku subiektów wypróżniało pułki. Potem i to ucichło. Z całej wrzawy pozostało w powietrzu drżenie, po nad ogromną masą wyładowanych towarów. Obecnie przedziały, szafy, pudła, były opróżnione; ani jeden metr materyi, ani jeden przedmiot nie pozostał na miejscu. Rozległe magazyny okazywały tylko skielet swego urządzenia; świeciły pustkami jak w dzień instalacyi. To opustoszenie służyło namacalnym dowodem, że wszystko poruszono, że inwentarz został z całą ścisłością spisany. Na ziemi leżało towarów za szesnaście milionów, był to przypływ morza, zalewający stoły i kontuary. Subiekci zatopieni po ramiona, zaczynali porządkować przedmioty. Spodziewano się skończyć do dziesiątej godziny.

Gdy pani Aurelia, należąc do pierwszego stołu, powracała z obiadu, przyniosła z sobą sprawdzoną cyfrę dokonanych w tym roku obrotów, całość wynosiła osiemdziesiąt milionów, o dziesięć milionów więcej, niż roku zeszłego.

— Jeżeli pan Mouret jeszcze z tego nie będzie zadowolony, to już nie wiem, czego żądać może— dodała: — Patrzcie, stoi tam u szczytu wielkich wschodów z wściekłą miną.

Panny poszły mu się przyjrzeć; stał sam jeden z twarzą zasępioną, po nad milionami, piętrzącemi się u stóp jego.

— Czy pani pozwoli mi odejść?—spytała Dyoniza.—Na nicbym się teraz zdać nie mogła z moją nogą, a mam być na obiedzie u mego stryja z braćmi...

Powstało ogólne zadziwienie: a więc nie uległa? Pani Aurelia wahała się chwilę, prawie odrzuciła jej prośbę, głosem krótkim i niezadowolonym. Klara z niedowierzaniem wzruszała ramionami, mówiąc:

— Dajcież pokój, nie ma w tem nic osobliwego, po prostu niechce.

Paulina dowiedziała się o tem rozwiązaniu zagadki, będąc z Delochem przy wyprawach. Żywa radość młodzieńca wprawiła ją w gniew.

— Cóż panu przyjdzie z tego, znów cię to cieszy, że jest tak głupia, iż odepchnęła fortunę?

Bourdoncle nie śmiejąc przystąpić do Moureta, w tem jego odosobnieniu się ponurem, przechadzał się pośród ogólnego szmeru, sam zbity z tropu i zaniepokojony.

Jednakże Dyoniza zeszła na dół z małych wschodów na lewo, powoli kulejąc i opierając się

o poręcz, spostrzegła gromadkę śmiejących się subiektów. Posłyszała swe imię i czuła, że ciągle mówią o jej awanturze. Nikt jej nie spostrzegł.

— Dajcież pokój! to tylko wybiegi—mówił Favier—ona jest nawskroś zepsuta... tak, wiem o jednym, którego gwałtem zdobyć chciała.

Mówiąc to, patrzył na Hutina, który dla zachowania godności podstarszego, stał oddalony o cztery kroki i nie wdawał się w żarty. Lecz mu pochlebiały zazdrośne miny innych, że raczył szepnąć:

— Uprzykrzyła mi się strasznie.

Dyoniza ugodzona głęboko w serce, uchwyciła się poręczy. Pewnie ją spostrzeżono, bo się rozbiegli ze śmiechem.

On ma słuszność! oskarżała siebie za dawną niewiadomość swych uczuć, myśląc o nim. Lecz jakże on podły i jak nim pogardzała obecnie! Wielki zamęt ją opanował: nie byłoż to dziwnem, że przed chwilą znalazła siłę odepchnąć ukochanego człowieka, a wówczas czuła się tak słabą wobec tego nędznika, o którego miłości tylko marzyła. Jej rozum i męztwo, błąkały się wśród własnych sprzeczności. Pospieszyła przejść przez hallę.

Podniosła instyktowo głowę, właśnie kiedy inspektor otwierał drzwi zamknięte od rana; spostrzegła Moureta; stał ciągle u góry wschodów, na centralnym przystanku, panującym nad

galeryą, ale zapomniał o inwentarzu, nie widział swego państwa, swych magazynów, swych bogactw. Wszystko znikło: szumne wczorajsze zwycięztwa, kolosalna jutrzejsza fortuna. Zrozpaczonem okiem ścigał Dyonizę i gdy znikła za drzwiami, nic już nie pozostało, cały dom zaległa pustka.

ROZDZIAŁ III.

Tegoż samego dnia, Bouthemont przybył pierwszy do pani Desforges na herbatę o czwartej godzinie. Zastał ją samą w salonie à la Louis XVI, w którym bronzy i brokatela błyszczały wesoło. Niecierpliwie wstając z krzesła zapytała:

— I cóż?

— A cóż, — odrzekł młodzieniec — kiedym mu powiedział, że się wybieram złożyć pani uszanowanie, najsolenniej obiecał przyjść także.

— Czy pan dałeś do zrozumienia, że oczekuję dziś barona?

— Nieomieszkałem i zdawało mi się, iż to go najwięcej zdecydowało.

Rozmowa o Mourecie szła dalej. Zeszłego roku, nagle zaczął się okazywać dla Bouthemonta tak przyjacielskim, że przypuścił go do swych rozrywek. Wprowadził go nawet do Henryety, ciesząc się, że ma stałego towarzysza, który rozwesela trochę stosunek, poczynający go nudzić. W ten sposób starszy subiekt od jedwabi stał się powiernikiem pryncypała i pięknej wdówki, speł-

niał ich polecenia, służył im za echo, czasami ich godził. Henryeta w napadach zazdrości bywała tak szczerą, że się sam temu dziwił; wówczas bowiem traciła całą ostrożność światowej kobiety, starającej się o zachowanie pozorów.

— Trzeba go było przyprowadzić z sobą, byłabym pewniejszą.

— Trudna rada, jam temu nic nie winien; — odrzekł dobrodusznie — od kilku tygodni ciągle mi się wymyka. Ale on mnie kocha, gdyby nie to, nie mógłbym tam wytrzymać.

Rzeczywiście, jego stanowisko w Magazynie było zachwiane od czasu ostatniego inwentarza. Napróżno się bronił dżdżystą porą, Mouret nie mógł mu darować zbytecznego zapasu materyj fantazyjnych; a ponieważ Hutin wyzyskiwał tę okoliczność i dołki pod nim kopał wobec starszych z tajoną zaciekłością, dobrze czuł chwiejący się grunt pod sobą. Mouret go potępił, znudzony zapewnie świadkiem, który przeszkadzał do zerwania stosunku, nie przynoszącego mu już żadnej przyjemności. Lecz według zwyczajnej taktyki, zasłaniał się Bourdonclem; on to oraz inni wspólnicy, dopominać się mieli jego wydalenia, na każdej sesyi; on jeden nibyto opierał się temu i bądź co bądź energicznie bronił przyjaciela.

— Trudno, trzeba czekać — powiedziała pani Desforges. — Wiesz pan, że ta dziewczyna ma przyjść o piątej; chcę ich widzieć razem, żeby zbadać nakoniec ich tajemnicę.

Zaczęła znowu mówić o tym obmyślanym planie i rozgorączkowana powtarzała, że na jej żądanie pani Aurelia przyśle Dyonizę, dla obejrzenia płaszczyka, który źle leży.

— Gdy już będę miała tę dziewczynę w swoim pokoju, łatwo wynajdę powód, żeby przywołać Moureta, a następnie przystąpię do dzieła.

Bouthemont, siedząc naprzeciw niej, patrzał pięknemi, śmiejącemi się oczami, którym starał się nadać wyraz poważny. Ten wesoły towarzysz z brodą czarną jak atrament, ten krzykliwy hulaka, któremu gorąca, gaskońska krew krasiła twarz, rozmyślał nad tem, że kobiety światowe na to są tylko dobre, aby im pokazać ładny towar, wówczas kiedy się odważają wypróżniać swe sakiewki. Z pewnością kochanki jego przyjaciół, dziewczęta sklepowe, nie dopuszczają się zupełniejszych zwierzeń.

— O cóż pani chodzi, kiedy daję słowo, że między nimi nic nie ma, odważył się nakoniec powiedzieć.

— Właśnie o to mi idzie... on ją kocha! — krzyknęła. Drwię sobie z prostych spotkań, ze związków jednodniowych.

Mówiła o Klarze z pogardą: doszła jej bowiem wiadomość, że Mouret po odmowach Dyonizy, znowu się zwrócił do tej wielkiej rudej dziewczyny z końską głową, zapewne z wyrachowania trzymał ją w oddziale dla rozgłosu, obsypując podarunkami. Zresztą od trzech miesięcy pędził ży-

cie całkiem oddane rozkoszy, siejąc pieniądze z rozrzutnością, o której głośno mówiono. Kupił dom dla jednej zakulisowej awanturnicy i był objadany jeszcze przez dwie czy trzy inne łotrzyce, które się prześcigały nawzajem w zbytkach i kosztownych zachciankach.

— A wszystko z winy tej istoty,—powtarzała Henryeta. Czuję, że się rujnuje na inne dla tego, że ona go odpycha... Zresztą, co mię obchodzą jego pieniądze!... Kochałabym go jeszcze więcej, gdyby był ubogim. Pan wiesz jak go kocham... pan, coś się stał jego przyjacielem.

Zatrzymała się, dławiona łzami, gotowa wybuchnąć płaczem; nagle wyciągnęła ku niemu obie ręce. Była to prawda—ubóstwiała Moureta za jego młodość i tryumfy; żaden mężczyzna jeszcze nie opanował tak całkowicie jej ciała i duszy. Teraz, kiedy go miała utracić, przerażała się myślą o swych czterdziestu latach i zapytywała siebie z przestrachem: czem zastąpi tę wielką miłość?

— O, ja się zemszczę; —szeptała — zemszczę się jeżeli będzie źle postępował ze mną!

Bouthemont wciąż ją trzymał za ręce. Była jeszcze piękną, ale jako kochanka miałaby straszne wymagania, a on nie lubił tego rodzaju. „Jednakże warto się nad tem zastanowić — myślał — możeby się opłaciły przykrości".

— Dla czego pan czegoś sam nie rozpocznie? — spytała nagle, wyswabadzając ręce.

Milczał chwilę zdumiony; — potem odpowiedział:

— Trzebaby znacznych funduszów. Zeszłego roku długo nad tem rozmyślałem. Mam przekonanie, że w Paryżu możnaby jeszcze znaleźć klientelę dla jednego lub dwu wielkich magazynów; tylko trzebaby dobrze wybrać dzielnicę. *Bon Marché* stoi na lewym brzegu, *Louvre* znajduje się w centrze, *Bonheur des Dames* opanowało bogate zachodnie dzielnice; — pozostaje północ, gdzieby można rozpocząć konkurencyę z *Placem Clichy*. Znalazłem już był nawet wyborne miejsce po za Operą...

— I cóż?

Roześmiał się hałaśliwie.

— Wyobraź pani sobie, byłem tak głupi, żem się odezwał z tem do ojca i poprosiłem go naiwnie o wyszukanie akcyonaryuszów w Tuluzie...

Kończył opowiadać o gniewie starego poczciwca, wściekającego się na wielkie bazary paryzkie, w głębi swego prowincyonalnego sklepiku. Stary Bouthemont, którego trzydzieści tysięcy franków, zarabiane przez syna dławiły, powiedział, iż raczejby kapitały swoje oraz swych przyjaciół oddał na szpitale, niżby się przyłożył choćby centymem do powstania jednego z tych wielkich magazynów, które uważał, jako domy tolerowane w handlu.

— Zresztą, — zakończył młodzieniec — na to trzebaby milionów.

— A jeżeliby się znalazły? — zapytała wprost pani Desforges.

Spojrzał na nią, poważniejąc nagle. Miałożby to być tylko czczem słowem kobiety zazdrosnej? Lecz ona, nie pozostawiając mu czasu do pytań, dodała:

— Wiesz pan, że się tobą interesuję. Jeszcze o tem pomówimy.

W przedpokoju odezwał się dzwonek. Henryeta powstała z miejsca, a Bouthemont instynktowym ruchem, odsunął swe krzesło, jak gdyby się już mogli obawiać obcego oka.

Zaległo milczenie w tym wesołym salonie, gdzie się uśmiechały jasne obicia, a pomiędzy oknami liczne krzewy tworzyły jakby gaj zielony.

Stojąc z uchem skierowanym ku drzwiom, oczekiwała.

Lokaj zameldował:

— Pan Mouret i pan de Vallagnosc.

Henryeta nie mogła powstrzymać gniewnego gestu. Dlaczego przyszedł z przyjacielem? Pewnie go umyślnie odszukał, żeby uniknąć możebnego sam na sam. Jednakże z uśmiechem wyciągnęła rękę na powitanie przybyłych.

— Jacy z panów rzadcy goście! Ja to mówię do pana i do pana Vallagnosc.

Rozpaczając, że zaczyna tyć, nosiła obcisłe czarne jedwabne suknie, żeby ukryć wzmagającą się otyłość. Jednakże jej piękna główka z ciemne-

mi włosami, zachowała jeszcze wdzięk; Mouret mógł więc powiedzieć, obejmując ją poufałem spojrzeniem:

— Nie pytam panią o zdrowie, bo świeża jesteś jak róża.

— O, mam się doskonale; — odpowiedziała. Zresztą mogłabym nawet umrzeć, a pan byś o tem nie wiedział.

Ona mu się także przypatrywała: wydał jej się zdenerwowany i zmęczony; powieki miał ospałe i cerę ołowianą.

— Nie odpłacę się panu komplimentem, bo źle dziś wyglądasz.

— Praca... — odezwał się Vallagnosc.

Mouret zrobił gest nieokreślony, nic nie odpowiadając. Spostrzegłszy Bouthemont'a powitał go przyjaznem kiwnięciem głowy. W czasie wielkiej ich zażyłości, porywał go sam z oddziału i prowadził do Henryety, nie zważając na wielki ruch godzin popołudniowych; lecz zmieniły się czasy, rzekł więc półgłosem:

— Wymknąłeś się bardzo wcześnie. Spostrzegli się tam, żeś wyszedł i strasznie są zagniewani. Mówił to o Bourdoncle'u i innych wspólnikach, jak gdyby nie był ich panem.

— A! — szepnął Bouthemont z niepokojem.

— Tak, tak, mam z panem o czemś do pomówienia. Zaczekaj na mnie, wyjdziemy razem.

Henryeta usiadła i słuchała Vallagnosc'a, który zapowiadał, że prawdopodobnie odwiedzi ją

pani de Boves; Moureta jednak nie spuszczała z oka. On zaś zapadł w milczenie, spoglądał na meble i zdawał się szukać czegoś na suficie. Potem, kiedy się żartem zaczęła uskarżać, że tylko mężczyzn miewa teraz na swej popołudniowej herbacie, zapomniał się do tego stopnia, iż powiedział:

— Liczyłem na to, że zastanę tu barona Hartmanna.

Henryeta zbladła; wprawdzie wiedziała, że przychodzi do niej jedynie dla spotkania się z baronem, lecz niepowinien jej był tego objawiać tak brutalnie. Właśnie w tej chwili wszedł lokaj i stanął za jej krzesłem. Kiedy się zapytała poruszeniem głowy, schylił się i powiedział po cichu:

— To o ten płaszczyk. Pani kazała mi siebie zawiadomić... Ta panna przyszła...

Henryeta podniosła głos, ażeby być słyszaną i ulżyła dręczącej ją zazdrości wymawiając te słowa pogardliwie i oschle:

— Niechaj czeka.

— Czy mam ją zaprowadzić do gabinetu pani?

— Nie, nie; niech pozostanie w przedpokoju.

Kiedy lokaj wyszedł, najspokojniej prowadziła dalej rozmowę z Vallagnosc'em. Mouret, który znów popadł w swe odrętwienie, słuchał z roztargnieniem nic nie rozumiejąc. Bouthemont zaciekawiony tą awanturą, zamyślił się. W tej chwili drzwi się otworzyły i weszły dwie damy.

— Wyobraź sobie—powiedziała pani Marty — wysiadałam z powozu, kiedym spostrzegła panią de Boves pod arkadami.

— Tak, rzeczywiście; — tłómaczyła się ta pani — dziś tak pięknie, a ponieważ doktór zaleca mi dużo chodzić...

Przywitawszy się ze wszystkimi, zapytała Henryety:

— Czy przyjmujesz nową pokojówkę?

— Nie, — odpowiedziała pani Desforges z zadziwieniem. Dla czego się pytasz?

— Widziałam w przedpokoju jakąś młodą dziewczynę.

— Prawda, — przerwała śmiejąc się Henryeta. Wszystkie te sklepowe wyglądają na pokojówki!... Tak, ta panna przyszła, żeby coś poprawić koło płaszczyka.

Mouret spojrzał na nią badawczo, mając już pewne podejrzenie. Ona zaś opowiadała, że kupiła ten płaszczyk w Magazynie Nowości, przeszłego tygodnia.

— Jakto — przerwała pani Marty — więc się nie ubierasz w Sauveur?

— Owszem, moja droga, tylko chciałam zrobić próbę. Zresztą byłam zadowoloną z pierwszego kupna; był to płaszczyk podróżny, lecz tym razem nie udało mi się. Napróżno bronicie waszych magazynów, nie można się w nich ubrać przyzwoicie. O, ja się wcale nie krępuję przy panu

Mourecie. Nigdy nie potraficie ubrać dystyngowanej kobiety.

Mouret wcale się nie odzywał za swoim magazynem, ciągle tylko patrzył na nią, wmawiając w siebie i uspakajając się, że nigdyby nie śmiała tego uczynić; ale Bouthemont czuł się w obowiązku bronić sławy Magazynu.

— Gdyby wszystkie panie z wyższego świata ubierające się u nas tak mówiły — wtrącił wesoło — byłabyś pani zdziwioną naszą klientelą... Niech pani zamówi u nas okrycie na miarę, a pewno w niczem nie ustąpi robocie pani Sauveur i będzie o połowę tańsze. Ale właśnie dla tego że tańsze, wydaje się gorszem.

— Więc chybione to okrycie? — spytała pani de Boves. Znam trochę tę pannę... ale że ciemno w przedpokoju nie mogłam jej się przyjrzeć i przypomnieć sobie gdziem ją widziała... idźże moja droga, nie zważaj na nas.

Henryeta okazała gestem wzgardliwe lekceważenie.

— Później pójdę... nic pilnego.

Panie ciągnęły dalej rozmowę o okryciach z dużych magazynów. Potem pani de Boves opowiadała o swym mężu, który, jak mówiła, udał się na obiazd inspekcyjny, dla zwiedzenia stacyi stadników w Saint-Lô; Henryeta zaś właśnie tylko co objaśniła, że choroba ciotki powołała nagle panią Guibal do Franche-Comtè. Nie rachowała też na przybycie pani Bourdelais, która przy koń-

cu miesiąca, zamykała się zwykle ze szwaczką, dla przejrzenia bielizny swej dziatwy. Pani Marty zdawała się nurtowaną tajemnym niepokojem. Stanowisko jej męża w Lyceum Bonapartego było zachwiane, skutkiem prywatnych lekcyj, jakie dawał ten biedak w instytucyach frymarczących dyplomami na stopień bakałarza. Zbierał on pieniądze gorączkowo, gdzie tylko mógł, ażeby podołać szalonym i rujnującym wydatkom domowym. Ujrzawszy pewnego dnia, że płacze z obawy by go nie wydalono, żona powzięła myśl prosić Henryetę o protekcyę do jednego z dyrektorów ministeryum oświaty publicznej, którego znała osobiście. Henryeta uspokoiła ją jednem słowem. Pan Marty miał przyjść, żeby się dowiedzieć o swym losie i złożyć jej podziękowanie.

— Pan zdajesz się niezdrów, panie Mouret — zauważyła pani de Boves.

— Praca! — powtórzył Vallagnosc z swą flegmą ironiczną.

Mouret zerwał się nagle, widocznie z siebie nierad, że się tak zapomina. Usiadł pomiędzy damami i odzyskał cały swój wdzięk. Zajmowały go nowości zimowe, mówił więc, że przybędą znaczne transporta koronek. Pani de Boves pytała o ceny Point-d'Alençon.

— Być może że je nabędę — rzekła.

Obecnie jednak starała się zaoszczędzić dwa franki na powozie i wróciła do domu chora skutkiem tego, że się zatrzymała przed wystawą.

Okryta płaszczykiem, kupionym jeszcze przed dwoma laty, kładła w myśli na swe królewskie ramiona, wszystkie drogie materye, jakie widziała; a gdy ocknąwszy się ze swego snu, ujrzała na sobie zniszczoną suknię, bez nadziei, że kiedykolwiek zadowolni swoją namiętność, tak jej było, jak gdyby z niej owe piękne stroje ze skórą zdzierano.

— Pan baron Hartmann—oznajmił lokaj.

Henryeta zauważyła, z jakiem uradowaniem Mouret ścisnął rękę nowo przybyłego. Baron powitał damy i spojrzał na młodzieńca z finezyą rozjaśniającą chwilami jego szeroką twarz alzacką.

— Znowu o gałgankach! — szepnął uśmiechając się.—Potem jako częsty i nieetykietalny gość, pozwolił sobie dodać: — Śliczna panienka jest w przedpokoju. Kto to taki?

— O! nikt — odpowiedziała wzgardliwie pani Desforges—to tylko panna z magazynu.

Drzwi pozostały uchylone; lokaj podawał herbatę; wychodził, znowu wchodził, ustawiał na stole serwis chiński, talerze z butersznitami i biszkoptami. W obszernym salonie jasne światło złagodzone przez zieleniejące się krzewy, błyszczało na bronzach i wesoło odbijało się na jedwabnem obiciu mebli. Za każdym razem co się drzwi otwierały, widać było ciemny kąt w przedpokoju, do którego tylko przez okno z pociemniałemi szybami, wpadało nieco światła, Tam wśród

ciemności, znajdowała się postać również ciemna, nieruchoma i cierpliwa. Dyoniza stała; była wprawdzie ławeczka obita skórą, ale duma ją od niej odpychała. Czuła obelgę. Od pół godziny znajdowała się tam, nie poruszając się, nie mówiąc ani słowa. Te panie i baron, przyglądali jej się przechodząc; obecnie zaś dochodziły do niej głosy z salonu; cały ten miły przepych policzkował ją swoją obojętnością; ona zaś ciągle stała, nie ruszając się z miejsca. Nagle, przez uchylone drzwi poznała Moureta, który także odgadł nareszcie, że to ona tam się znajduje.

— Czy to jedna z pańskich sklepowych? — zapytał baron dobrodusznie.

Mouret ukrył wielkie pomieszanie, tylko mu głos zadrżał od wzruszenia, gdy rzekł:

— Zapewne, tylko niewiem która.

— To ta mała blondynka z konfekcyj — odpowiedziała pani Marty — zdaje mi się, że *druga sklepowa.*

Henryeta spojrzała nań w tej chwili.

— Tak... — odezwał się obojętnie.

Poczem zaczął opowiadać o zabawach, wyprawianych od wczoraj dla króla pruskiego w Paryżu. Ale baron złośliwie zwrócił mowę do panien z wielkich magazynów i udając, że się chce obeznać z tą kwestyą, zapytał zkąd pochodzą w ogóle i czy się tak źle prowadzą, jak ludzie mówią? Słowem, wszczęła się ztąd dyskusya.

— Czy doprawdy masz je pan za uczciwe?

Mouret bronił ich cnoty z takiem przekonaniem, że Vallagnosc począł się śmiać. Wtedy Bouthemont wdał się w rozmowę, aby przyjść w pomoc pryncypałowi. Mówił, że są pomiędzy niemi rozmaite — i ladaco i uczciwe dziewczęta; jednakże poziom ich moralności coraz bardziej się podnosi. Dawniej zgłaszały się tylko upadłe dziewczęta niefachowe i biedne; ale obecnie z ulicy Sèvres np. wychowują małe dziewczęta specyalnie dla Magazynu Nowości. W ogóle, gdy chcą, mogą się one uczciwie prowadzić, gdyż nie są zmuszone, jak robotnice z bruku paryzkiego, żywić się same i o mieszkaniu myśleć, u nas mają stół i nocleg, ich byt jest zabezpieczony, chociaż bardzo ciężki. Najgorszą stroną jest to, że ich pozycya jest niejasna, coś pośredniego pomiędzy sklepową i damą. Nieraz postawione pośród zbytku, częstokroć bez elementarnego nawet wykształcenia, przez ocieranie się, wyrabiają w sobie smak do rzeczy nieprzystępnych w ich położeniu; w ten sposób wytwarza się z nich jakaś klasa wyjątkowa, niedająca się określić. Ich nędza moralna i wady, ztąd właśnie pochodzą.

— Co do mnie — powiedziała pani de Boves — nie znam istot nieznośniejszych. Nierazby się je zpoliczkowało.

Panie te zaczęły wylewać swą żółć na wyścigi. Mówiły, że w magazynach kobiety pożerają się nawzajem, wśród współubiegania się o pieniądze i piękność. Sklepowe gorzko zazdroszczą klient-

kom dobrze ubranym, których układ starają się naśladować; klientki zaś uboższe, licho ubrane, z niższego mieszczaństwa, jeszcze są zazdrośniejsze, a dziewczęta sklepowe chodzące w jedwabiach, robiąc sprawunek za dziesięć sous, wymagają od nich, aby pokorne były jak sługi.

— Nie ma o czem mówić—zakończyła Henryeta—wszystkie są do sprzedania, tak samo jak ich towary.

Mouret zdobył się na uśmiech, a baron patrzył nań, podziwiając wdzięk z jakim panuje nad sobą. Dlatego wrócił znowu do zabaw, wyprawianych na cześć króla pruskiego: będą one wspaniałe, cały handel paryzki na nich skorzysta.

Henryeta milczała, pogrążona w zadumie, walcząc między chęcią zapomnienia dłużej jeszcze, że czeka Dyoniza w przedpokoju z obawy, by Mouret nie odszedł, kiedy już wie o jej przybyciu. Odezwała się więc, wstając z krzesła:

— Panie pozwolą?

— Dla czegożby nie, moja droga — powiedziała pani Marty — zastąpię cię w obowiązkach gospodyni domu.

Wziąwszy imbryk, ponalewała zaraz filiżanki; Henryeta zaś, zwracając się do barona, rzekła:

— Pozostaniesz pan chwilkę?

— Tak, pani; mam o czem pomówić z panem Mouretem i dlatego udamy się do saloniku.

Odeszła, a jej czarna jedwabna suknia ocierając się o drzwi, wydała szelest podobny do chrzę-

stu jaszczurki, przemykającej się pomiędzy krzakami. Baron postarał się uprowadzić zaraz Moureta, pozostawiając panie w towarzystwie Bouthemonta i Vallagnosca, — poczem półgłosem mówili, stojąc pod oknem sąsiedniego salonu. Toczyła się zupełnie nowa sprawa. Mouret oddawna marzył o zajęciu swoim magazynem całej wysepki od ulicy Monsigny do ulic Neuve-Saint-Augustin i Dziesiątego Grudnia. Na tym ogromnym placu, był jeszcze przy tej ostatniej ulicy rozległy grunt pobrzeżny, nie należący doń, co mu zatruwało tryumf. Dla uzupełnienia swego zwycięztwa, zapragnął koniecznie wznieść tam, jako apoteozę monumentalną fasadę. Dopóki paradne wejście znajdowało się od Neuve Saint Augustin, w ciemnej uliczce starego Paryża, dzieło jego było niewykończone i pozbawione logiki. Chciał je pokazać przed nowym Paryżem, na jednej z tych nowych alei, gdzie przy blasku słońca przesuwał się zgiełk końca wieku; widział ją panującą, imponującą jako olbrzymi pałac handlu,—rzucającą więcej cienia na miasto, niż Louvre. Lecz dotąd wszystko się rozbijało o upór Kredytu Nieruchomego, który się trzymał pierwszego swego pomysłu, wzniesienia w tem miejscu hotelu dla konkurencyi z Grand - Hotelem. Plany były gotowe; oczekiwano tylko zupełnego oczyszczenia ulicy Dziesiątego Grudnia, dla rozpoczęcia robót. Nakoniec, uczyniwszy ostatni wysiłek, Mouret prawie zdołał przekonać barona.

— Mieliśmy wczoraj sesyę—powiedział — więc spodziewając się zastać tu pana, przyszedłem zawiadomić, że się ciągle jeszcze opierają.

Młodzieniec zrobił nerwowe poruszenie.

— Co za niedorzeczność! I cóż mówią?

— To samo, com ja panu mówił i co dziś jeszcze trochę myślę... Pańska fasada byłaby tylko ozdobą. Nowe zabudowania powiększą może zaledwie o jedną dziesiątą część powierzchnię, jaką teraz zajmują magazyny, a na tę reklamę za wielkie sumy trzebaby poświęcić.

Mouret nagle wybuchnął:

— Reklama! reklama!... W każdym razie, ta reklama jest z kamienia i przeżyje nas wszystkich. Nie zapomnij pan, że toby nasze interesa powiększyło o dziesięć procent. We dwa lata odzyskamy kapitał. Mniejsza o to, że nazywacie panowie ten grunt straconym, kiedy wam przyniesie ogromy dochód!... Zobaczycie jakie tłumy będą wtenczas, gdy nasza klientela przestanie się dusić od ulicy Neuve Saint Augustin i będzie mogła swobodnie napływać przez szeroką aleję, mieszczącą wygodnie sześć powozów rzędem.

— Bezwątpienia — odpowiedział baron uśmiechając się—ale jesteś poetą w swoim rodzaju; powtarzam raz jeszcze: ci panowie utrzymują, że byłoby niebezpiecznie rozwijać jeszcze bardziej pański interes. Chcą być przezorni za pana.

— Jakto! przezorni! Tego już nie rozumiem. Alboż nie przekonywam cyframi o wzrastającej

ciągle sprzedaży? Pierwiastkowo z kapitałem pięciu kroć sto tysięcy franków, zyskiwałem dwa miliony, obracając tym kapitałem cztery razy. Potem wzrósł on do czterech milionów, obrócony dziesięć razy dał czterdzieści milionów w interesie. Nakoniec przekonałem się przy ostatnim obrachunku inwentarza, że obecnie jest w obrocie osiemdziesiąt milionów franków Kapitał mało się powiększył, bo wynosi sześć milionów; tylko przeszedł przez nasze kantory w postaci towarów, więcej niż dwanaście razy.

Podniósł głos, bijąc palcami lewej ręki o prawą dłoń i przerzucając milionami, jak garścią orzechów. Baron mu przerwał:

— Wiem o tem... ale przecież pan nie możesz ciągle tak iść w górę?

— Dlaczego nie? — odrzekł Mouret naiwnie.— Nie ma powodu, żeby się ten stan rzeczy zmienił. Kapitałem można obrócić piętnaście razy, oddawna już to przepowiadam. Nawet w niektórych oddziałach przejdzie dwadzieścia pięć i trzydzieści razy. A potem... ha! potem, wymyślim jakiś figiel, żeby się obracał jeszcze prędzej.

— Skończy się więc na tem, że wypijesz pan pieniądze Paryża, jak się wypija szlankę wody?

— Bezwątpienia. Alboż Paryż nie należy do kobiet, a one czy nie są naszą własnością?

Baron położył mu obie ręce na ramionach, patrząc nań po ojcowsku.

— Przyznaję, iż tęgi z ciebie chłopiec, kocham cię za to... Niepodobna ci się opierać. Postaramy się dokładnie roztrząsnąć tę ideję i spodziewam się, że się dadzą przekonać. Dotychczas możemy tylko szczycić się panem. Dywidendy są tak wysokie, że giełda słupieje. Musisz pan mieć słuszność po swojej stronie. Lepiej włożyć pieniądze w twoją maszynę, niżeli je ryzykować na konkurencyę z Grand - Hotelem; to przedsięwzięcie bowiem jest hazardowne.

Wzburzenie Moureta uspokoiło się; podziękował baronowi, chociaż bez zwykłego uniesienia; ten zaś spostrzegł, że oczy zwraca ku drzwiom sąsiedniego pokoju, na nowo opanowany głuchym niepokojem, który skryć się starał.

Tymczasem Vallagnosc miarkując, że już skończyli mówić o interesach, przybliżył się i słuchał barona, który z galanteryą starego birbanta, szeptał:

— Wiesz pan co, zdaje mi się, że one się mszczą.

— Kto taki?—spytał Mouret z zakłopotaniem...

— Kobiety... Zaczyna im się przykrzyć, że należą do ciebie; teraz tyś się stał ich własnością,— ha! piękne za nadobne!

Zaczął żartować, bo głośne sprawy miłosne młodzieńca były mu dobrze znane. Dom kupiony dla awanturnicy zakulisowej, ogromne sumy przehulane z dziewczętami w oddzielnych gabinetach, bawiły go, usprawiedliwiając niejako da-

wne jego wybryki. Stare jego doświadczenie tryumfowało.

— Doprawdy, nie rozumiem — powtarzał Mouret.

— Dajże pan pokój — odezwał się znów baron — zawsze na tem się kończy, że one górę biorą; dla tego też myślałem: to nie może być, on się przechwala, nie jest tak mocny! Jak pan widzisz, nie omyliłem się. Wyzyskaj kobietę, wyczerpnij jak kopalnię węgla, ona potem wszystko z ciebie wyciągnie i opanuje cię w dodatku. Bądź ostrożny, bo ona daleko więcej wysączy z ciebie krwi i pieniędzy, niżeliś ty sam z niej wyssał.

Śmiał się coraz więcej, a Vallagnosc wtórował mu z cicha, nie mówiąc ani słowa.

— Trzebaż wszystkiego pokosztować — wyznał otwarcie Mouret, zmuszając się także do żartobliwości. — Pieniądz nic nie wart, jeżeli się go nie wydaje.

— Co do tego, zgadzam się — rzekł baron. — Baw się, mój kochany i bądź pewien, że odemnie morałów nie posłyszysz, jak również, że się ani chwili nie obawiam o ogromne kapitały, jakieśmy ci powierzyli. Trzeba spędzić apetyt, potem ma się za to swobodniejszą głowę; zresztą, nie jest to przykra rzecz zrujnować się, gdy się jest zdolnym odzyskać fortunę... Lecz jeżeli pieniądz jest niczem, za to są cierpienia...

Zatrzymał się, uśmiech jego przybrał odcień smutku, dawniejsze troski przebijały przez ironię jego sceptycyzmu. Śledził on za pojedynkiem

Henryety z Mouretem, ciekawym jeszcze będąc walk roznamiętniających cudze serca. Czuł, że nastąpił kryzys i odgadywał dramat, świadomym będąc historyi tej Dyonizy, którą właśnie zauważył w przedpokoju.

— O! co się tyczy cierpień, to nie wchodzi w zakres mojej specyalności—powiedział Mouret z fanfaronadą—dosyć, że się za to płaci.

Baron wpatrywał się weń przez kilka sekund w milczeniu. Nie chcąc kłaść nacisku na dyskretną swą aluzyę, dodał powoli:

— Nie okazuj się gorszym, niż jesteś!... Pozostawisz coś więcej jak pieniądze. Tak, przypłacisz to własną osobą.

Tu zwrócił się do Vallagnosca z żartobliwem pytaniem:

— Prawda, panie de Vallagnosc, wszakże to się zdarza?

— Tak mówią, panie baronie — odpowiedział tenże.

W tej chwili uchyliły się drzwi; Mouret, który chciał właśnie odpowiedzieć, drgnął z lekka, wszyscy trzej obrócili się: była to pani Desforges, która ukazując tylko głowę przez drzwi, wesoło i prędko zawołała:

— Panie Mouret! panie Mouret!

Spostrzegłszy ich wszystkich, dodała:

— Panowie wybaczą, że porwę na chwilę pana Moureta. To bardzo słuszne żądanie, sprzedał mi szkaradny płaszczyk, należy więc, by udzielił

przynajmniej swych światłych wskazówek. Ta dziewczyna jest tak głupia, że nie może sobie poradzić. Chodźże pan, czekam.

Wahał się, walczył z sobą, pragnął uniknąć przewidywanej sceny, ale musiał być posłusznym. Baron mówił z miną ojcowską i żartobliwą zarazem:

— Idźże, idź, mój kochany, pani cię potrzebuje.

Wtedy Mouret udał się za nią. Gdy się drzwi zamknęły, zdawało mu się, że słyszy drwiący śmiech Vallagnosca, przygłuszony przez obicia. Zresztą, czuł zupełne wyczerpanie odwagi. Od czasu jak Henryeta wyszła z salonu i wiedział, że Dyoniza w głębi pomieszkania jest w rękach tej zazdrośnicy, doznawał coraz większego niepokoju i rozdrażnienia nerwowego, tak dalece, że chwilami nadstawiał ucha, jakby drżąc na oddalony odgłos płaczu. Co ta kobieta mogła wymyśleć, żeby ją dręczyć? Z całą mocą miłości, która go samego dziwiła, zwracał się ku Dyonizie, jako jedyna jej podpora i pociecha. Nigdy jeszcze w ten sposób nie kochał, żeby cierpienie miało dlań tak silny urok. Słabostki przelotne, nawet Henryeta, tak wykwintna i ładna, której posiadanie pochlebiało jego dumie, było to tylko przyjemne przepędzenie czasu, niekiedy rachuba, w której szukał jedynie korzystnej rozkoszy. Wychodził od swych kochanek, kładł się spać w domu, szczęśliwy ze swej wolności kawalerskiej, bez żalu i troski. Teraz serce mu biło nie-

spokojnie, życie było zakłócone, sen nie dostarczał mu chwili zapomnienia, na szerokiem i samotnem łożu. Dyoniza posiadała go bez ustanku. Nawet w tej chwili, ją jedynie miał na względzie i myślał idąc za tą drugą w obawie drażliwych scen, że lepiej iż tam będzie, aby ją bronić.

Najprzód przeszli przez sypialnię milczącą i pustą; potem pani Desforges, odemknąwszy drzwi, weszła do gabinetu, gdzie w ślad za nią udał się i Mouret. Był to dość obszerny pokój, obity czerwoną jedwabną materyą; pośrodku stała marmurowa gotowalnia i szafa o trzech szerokich lustrzanych skrzydłach. Okna wychodziły na podwórze; było już ciemno, zapalono więc dwa gazowe płomienie, których niklowe lichtarze, przytwierdzone były po obu stronach szafy.

— Może teraz pójdzie lepiej nam—powiedziała Henryeta.

Wszedłszy, ujrzał Mouret Dyonizę stojącą prosto pośród jarzącego światła. Była bardzo blada i skromnie ubrana w czarnej kaszmirowej żakietce i czarnym kapeluszu. Ów płaszczyk kupiony w *Bonheur*, trzymała na ręku. Na widok pryncypała, ręce jej z lekka drgnęły.

— Chcę, żeby pan Mouret wydał sąd — rzekła Henryeta—więc niech mi panna pomoże ubrać się.

Dyoniza musiała włożyć na nią płaszczyk. — Przy pierwszem przymierzaniu, pospinała go już szpilkami na ramionach, gdzie źle

leżał. Henryeta przyglądała się sobie w lustrze od szafy.

— Czy można go nosić? Powiedz pan szczerze.

— Rzeczywiście, jest chybiony — powiedział Mouret, żeby zakończyć tę sprawę. — Ale to bardzo prosta rzecz; panna zdejmie miarę i zrobimy nowy.

— Woale nie; ja chcę mieć ten sam i potrzebuję go natychmiast — żywo zawołała. — Tylko że mi ściska piersi, a z tyłu odstaje.

Potem dodała oschle:

— Patrzeniem nie zaradzisz panna złemu! staraj się coś wymyśleć, to do ciebie należy.

Dyoniza, nie otwierając ust, zaczęła znowu spinać. Trwało to długo, musiała bowiem przechodzić od jednego ramienia do drugiego; wypadło jej nawet schylić się, ażeby z przodu obciągnąć płaszczyk. Stojąc przed nią, pani Desforges pozwalała opinać płaszczyk na sobie, z ostrym wyrazem twarzy pani, którą sługa nie może zadowolnić. Uszczęśliwiona, że poniża dziewczynę, wydawała krótkie rozkazy, szpiegując na twarzy Moureta najmniejsze drgnienie nerwowe.

— Zapnij panna tutaj. Nie tam... tu, przy rękawie. Czy panna nie rozumiesz? Ależ nie tak,.. Patrzajże... kieszeń się oddyma. Ostrożnie, kłujesz mnie panna.

Dwa razy Mouret napróżno usiłował przerwać tę scenę. Serce biło mu jak młotem, na widok poniżenia przedmiotu jego miłości; kochał jeszcze

więcej Dyonizę, z tkliwem rozrzewnieniem, widząc jej poważne milczenie, chociaż się jej ręce trzęsły trochę z powodu, że tak jest traktowaną wobec niego. Uległa konieczności swego fachu, z dumną rezygnacyą dzielnej dziewczyny.

Gdy pani Desforges zmiarkowała, że się nie zdradzą, wzięła się na inny sposób: zaczęła się uśmiechać do Moureta, dając poznać, że jest jej kochankiem. W tej chwili właśnie zabrakło szpilek.

— Poszukaj, mój przyjacielu, w pudełeczku z kości słoniowej, na toalecie. Doprawdy? puste... Bądźże tak dobry i zobacz na kominku, w pokoju; wiesz... w rogu lustra.

Kierowała nim, jako człowiekiem, który tam sypia i wie gdzie leżą szczotki i grzebienie, skoro przyniósł szpilki, biorąc je po jednej, zmusiła go, żeby stał przy niej, wpatrywała się weń i mówiła doń po cichu, jak gdyby Dyonizy tam nie było.

— Przecież nie jestem garbata. Daj pan rękę, dotknij mi ramion, dla przyjemności. Czym ja tak zbudowana?

Dyoniza zwolna podniosła oczy, bledsza jeszcze niż dotąd i w milczeniu zaczęła spinać płaszczyk. Mouret widział tylko jej grube blond włosy, skręcone na delikatnym karku; ale z dreszczu jaki wstrząsał niemi, domyślał się pomieszania i wstydu na jej twarzy. Teraz odepchnie go i każe zwrócić się do tej kobiety, która nie ukrywa swego z nim stosunku, nawet przed obcem okiem.

Ogarniała go szalona chęć wybicia Henryety. Czem ją zmusić do milczenia? Jak tu powiedzieć Dyonizie, że ją ubóstwia, że w tej chwili ona jedna dlań istnieje, że poświęci dla niej wszystkie swe jedniodniowe miłostki. Najniżej upadła kobieta, nie zdobyłaby się na tak dwuznaczne poufałości, jak ta mieszczanka. Cofnął rękę, odsunął się i rzekł:

— Niepotrzebnie się pani upiera przy tym płaszczyku, kiedy ja sam widzę, że jest chybiony.

Nastąpiło milczenie. Jeden płomień gazowy syczał w atmosferze miękkiej i dusznej tego pokoju; słychać tylko było ten ognisty oddech. — Zwierciadła szafowe, odbijały duże smugi żywego światła na ponsowem jedwabnem obiciu, a na tle jego migotały cienie tych dwóch kobiet. Nie zatkany flakon z werwenną, wydawał słabą i nie określoną woń więdnącego bukietu.

— Więcej nic nie mogę zrobić — rzekła Dyoniza podnosząc się nareszcie.

Czuła, że ją siły opuszczają: dwa razy ukłuła się szpilką w rękę, jak gdyby oślepła, tak miała oczy zamglone. Czy on należy do spisku, czy ją tam sprowadził, żeby się zemścić za odmowę, żeby jej pokazać, że go inne kobiety kochają? Lodowaciała na tę myśl; nigdy jeszcze nie potrzebowała takiej odwagi, nawet w tych okropnych chwilach, kiedy brakowało chleba. Upokorzenie niczem jeszcze było w porównaniu z tem, że go

widziała w objęciach innej, jak gdyby jej tam wcale nie było.

Henryeta przyglądała się sobie w lustrze i zno wu zaczęła miotać obelgi.

— To chyba żarty, moja panno, teraz jeszcze gorzej leży. Patrz panna, jak mi uwydatnia piersi; wyglądam jak mamka.

Dyoniza doprowadzona do ostateczności, odważyła się na niegrzeczną uwagę:

— Pani jest trochę otyła. Nie możemy na to nic poradzić, żeby pani była szczuplejszą.

— Otyła, otyła... — powtarzała Henryeta, na którą teraz przyszła kolej zblednąć. — Stajesz się panna zuchwałą! Doprawdy, jest komu wydawać sądy...

Obie drżące, stojąc naprzeciw siebie, mierzyły się oczami. Odtąd nie było już damy i panny sklepowej, lecz tylko kobiety, zrównane z sobą przez współzawodnictwo. Jedna gwałtownie zerwała płaszczyk, aby go cisnąć na krzesło, druga zaś, na chybił trafił, rzuciła pozostałe w ręku szpilki na gotowalnię.

— Dziwi mię to, że pan Mouret pozwala na taką zuchwałość. Sądziłam, że pan więcej wymagasz od swoich podwładnych.

Dyoniza odzyskawszy już swój odważny spokój, powiedziała:

— Jeżeli pan Mouret nie wydala mnie, to dla tego, że mi nie ma nic do zarzucenia. Gotowam panią przeprosić, jeśli to uważa za potrzebne.

Mouret przysłuchiwał się, wzburzony tą kłótnią i sam nie wiedział, jakby ją zakończyć. Nienawidził tych sprzeczek między kobietami, których zjadliwość drażniła jego potrzebę wdzięku. Henryeta chciała wymódz na nim jakie słowa nagany dla Dyonizy; ponieważ zaś pozostawał ciągle milczący, sam nie wiedząc jeszcze jak się znaleźć, schłostała go ostatnią obelgą.

— Czy mam to znosić we własnym domu, żeby mi ubliżały kochanki pańskie... dziewczyna, którą pan wziąłeś z jakiego rynsztoka?

Dwie wielkie łzy spłynęły po twarzy Dyonizy. Wstrzymywała je oddawna; lecz ta ostatnia obelga wstrząsnęła całą jej istotą. Skoro ujrzał, że płacze z godnością milczącą i zrozpaczoną, nie poniżając się do gwałtownej odpowiedzi, Mouret przestał się wahać, serce go pociągnęło ku niej z niewysłowioną tkliwością. Wziąwszy ją za ręce, wyjąkał:

— Odejdź prędko, moje dziecko i zapomnij o tym domu na zawsze.

Henryeta osłupiała i dławiona gniewem, patrzyła na nich.

— Zaczekaj pani — powiedział, składając sam płaszczyk — zabierz to okrycie. Pani Desforges kupi sobie drugie gdzieindziej. I nie płacz już; wiesz przecie, jaki mam dla ciebie szacunek.

Odprowadził ją drzwi, które zamknął za nią. Nie przemówiła ani słowa; tylko różowy płomień

okrasił jej policzki, a nowe łzy rozkoszne i słodkie zwilżyły jej oczy.

Henryeta dusząc się, wyciągnęła chustkę i zatykała nią usta. Rachuby jej obróciły się wniwecz; wpadła w zasadzkę przez nią samą zastawioną. Rozpaczała, że uniesiona zazdrością rzecz tę za daleko posunęła! Być porzuconą dla takiej istoty! Doznać jego wzgardy wobec niej! Duma jej cierpiała na tem więcej niżeli miłość.

— A więc to tę dziewczynę pan kochasz?—wyjąkała z przymusem, gdy pozostali sami.

Mouret nie zaraz odpowiedział; przechadzał się zwolna, jakby pochłonięty gwałtownem wzruszeniem. Nakoniec stanął i siląc się na jak najzimniejszy głos, bardzo grzecznie odrzekł tylko:

— Tak, pani.

Płomień gazowy wciąż syczał, w dusznem powietrzu gabinetu. Obecnie w blasku rzucanem przez zwierciadła nie było widać poruszających się cieni; pokój wydawał się pusty i przepełniony ciężkim smutkiem. Henryeta nagle osunęła się na krzesło, szarpiąc chustkę do nosa rozgorączkowanemi palcami i wśród łkań ciągle powtarzała:

— Mój Boże! jakżem nieszczęśliwa!

Patrzał na nią nieruchomy przez kilka sekund; poczem najspokojniej wyszedł; ona zaś, pozostawszy sama, płakała w milczeniu, pośród szpilek rozrzuconych na ziemi i na gotowalni.

Gdy Mouret wszedł do saloniku, zastał tylko Vallagnosca; baron powrócił do dam. Wzburzo-

ny, usiadł na kanapie w głębi pokoju, a przyjaciel widząc go bladym, przez litość stanął tak, by go zasłonić od ciekawych spojrzeń.

Z początku patrzyli na siebie nic nie mówiąc; nakoniec Vallagnosc, którego w głębi duszy, zakłopotanie Moureta ożywiało, spytał ironicznie:

— Cóż, bawisz się?

Zdawało się, iż Mouret nie odrazu go zrozumiał, przypomniawszy sobie jednak dawniejsze z nim rozmowy o czczych i niepotrzebnych udręczeniach życia, odpowiedział:

— Bezwątpienia; nigdym jeszcze nie żył w takiej pełni; nie żartuj z tego; godziny w których umieramy z cierpienia, są najkrótsze ze wszystkich.

Zniżonym głosem ciągnął dalej wesoło z wilgotnemi jeszcze od łez oczami.

— Ty wiesz o wszystkiem... prawda? We dwie szarpały mi serce przed chwilą. Ale to dobre, powiem ci nawet, że rany przez nie zadane, są prawie tak miłe, jak ich pieszczoty. Jestem złamany, sił już nie czuję, a jednak nie uwierzysz do jakiego stopnia drogie mi jest życie! O! ja muszę posiąść to dziewczę, która mnie odpycha.

Vallagnosc zapytał po prostu:

— A potem? cóż potem?

— Potem? Będę ją posiadał! Czy ci się zdaje żeś silny dla tego, że nie chcesz być głupim i cierpieć? Oszukujesz sam siebie, nic więcej! Postaraj się zapragnąć kobiety i posiądź ją nakoniec,

a ta jedna chwila wynagrodzi wszystkie cierpienia.

Ale Vallagnosc dalej go przekonywał, przesadzając swój pesymizm: na cóż tak pracować, kiedy za pieniądze nie wszystko mieć można? On by z pewnością zamknął sklep, wyciągnąłby się jak długi i leżał, nie ruszając palcem, gdyby się przekonał, że za miliony nie można kupić kobiety, której pożądamy! Mouret, słuchając go poważniał, nagle zaczął znowu gwałtownie wygłaszać ufność w potęgę swojej woli:

— Pragnę jej i mieć ją będę, to rzecz prosta; a jeżeli mi się wymknie, zobaczysz jaką maszynę zbuduję, żeby się wyleczyć. Będzie wspaniała pomimo to. . Ty nie pojmujesz tej mowy, bo inaczej wiedziałbyś, że działalność sama w sobie zawiera nagrodę. Działać, stwarzać, walczyć z przeciwnościami, zwyciężyć je, lub być przez nie zwyciężonym, oto w czem się zawiera radość i zdrowie ludzi!

— To tylko sposób obałamucania się, — szepnął Vallagnosc.

— A więc, wolę się obałamucać. Jeżeli mam umrzeć, to wolę z namiętności niż z nudów!

Obaj śmiać się zaczęli; przypomniało im to bowiem szkolne spory. Vallagnosc miękkim głosem zaczął się wtedy rozwodzić nad bezbarwnością wszelkich rzeczy. Popisywał się niejako swem martwem i czczem życiem. Będzie się jutro nudził w ministeryum, tako samo jak się nudził wczoraj; za trzy lata służby podwyższyli mu pen-

syę o sześćset franków, obecnie pobierał trzy tysiące sześćset franków, co mu nie starczy nawet na znośne cygara Coraz bardziej go to nuży i jeżeli się nie zabił, to poprostu z lenistwa, nie chcąc sobie zadać tego trudu. Gdy Mouret wspomniał o małżeństwie jego z panną de Boves, odpowiedział, że chociaż ciotka w żaden sposób nie chce umrzeć, pobiorą się, przynajmniej tak mu się zdaje, rodzice się zgadzają, a co do niego, jest całkiem bez woli. Na co się zda, chcieć albo nie chcieć, kiedy się rzeczy nigdy tak nie kończą, jak sobie życzymy. Stawiał za przykład przyszłego teścia, który spodziewał się znaleźć w pani Guibal omdlewającą blondynkę, chwilowe zadowolenie kaprysu, tymczasem trzyma go ona pod batem i kieruje jak starym koniem, ciągnąc zeń sił ostatki. Wówczas, kiedy sądzą w domu, że hrabia odbywa rewizyę stajen stadników w Saint-Lô, ona go dogryza w małym domku, najętym w Wersalu.

— Jednakże on szczęśliwszy od ciebie — powiedział Mouret, podnosząc się.

— O! z pewnością. Być może, iż to tylko zabawne co złe, — odpowiedział Vallagnosc.

Mouret, ochłonąwszy już, chciał się wymknąć, lecz chodziło mu o to, żeby jego wyjście nie wyglądało na ucieczkę. Postanowił więc wypić filiżankę herbaty i żartując obaj weszli do salonu. Baron Hartmann spytał się, czy nakoniec płaszczyk dobrze leży, na co Mouret odpowiedział bez zmieszania, że co do niego, całkiem stracił tę na-

dzieję. Zewsząd dały się słyszeć okrzyki. Podczas gdy pani Marty śpieszyła podać mu herbatę, pani de Boves narzekała na magazyny, że wogóle wyrabiają za ciasne okrycia. Nakoniec udało mu się usiąść przy Bouthemont'cie, który się nie ruszył z miejsca. Zapomniano o nich, więc nie czekając aż się znajdą na ulicy, wręcz odpowiedział na niespokojne pytania Bouthemonta, jaki los go czeka: że ci panowie postanowili na sesyi podziękować mu za usługi. Pomiędzy frazesami wypijał łyżeczkę herbaty, zapewniając, że go to mocno strapiło, że powstała kłótnia, po której nie mógł ochłonąć, bo jak szalony wybiegł z sali. Ale cóż robić? Nie można przecież zrywać z tymi panami z powodu prostego nieporozumienia o personel. Bouthemont strasznie pobladł, ale zmuszony był podziękować.

— To jakiś osobliwy płaszczyk, — zakończyła pani Marty. Henryeta jeszcze z nim nie skończyła.

Rzeczywiście tak długa nieobecność zaczęła wszystkich wprowadzać w kłopot. Lecz w tejże chwili zjawiła się pani Desforges.

— Pani także straciłaś nadzieję? — zawołała pani de Boves.

— Jak to?

— Pan Mouret powiedział, że nie można dojść do ładu.

Henryeta okazała wielkie zdziwienie.

— Pan Mouret żartował, ten płaszczyk będzie leżał doskonale.

Wydawała się bardzo spokojną i była uśmiechniętą. Musiała obmyć oczy, gdyż były żywe i wcale nie czerwone. Podczas kiedy całe jej ciało drżało i krwawiło się jaszcze, miała siłę ukrywać tę mękę, pod maską światowej uprzejmości. Ze zwykłym swym uśmiechem podała butersznity Vallagnosc'owi. Jeden tylko baron, znający ją doskonale, zauważył lekki kurcz w ustach i w głębi oczu skryty ogień, którego ukryć nie mogła; odgadł on całą scenę.

— Różne są gusta; — powiedziała pani de Boves, biorąc podany butersznit. Znam panie, któreby kawałka wstążki nie kupiły nigdzie, tylko w Luwrze; inne wierzą tylko w *Bon Marché*. Musi to być kwestyą usposobienia.

— *Bon Marché* zakrawa na prowincyę, — wtrąciła pani Marty, a w Luwrze tak ciasno!

Damy wpadły znowu na tor rozmowy o wielkich magazynach. Mouret zmuszony był wypowiedzieć swoje zdanie, zbliżył się więc do nich i starał się być bezstronnym. Przyznawał, że *Bon Marché* jest doskonałym domem handlowym, budzącym zaufanie, Luwr zaś ma daleko świetniejszą klientelę.

— Słowem, wolisz pan *Bonheur des Dames* — powiedział śmiejąc się baron.

— Tak, — odrzekł Mouret spokojnie. U nas kocha się klientki.

Wszystkie panie przyznały mu słuszność. Rzeczywiście, w *Bonheur* pieszczono, uwielbiano i schlebiano im do tego stopnia, że to wabiło na-

wet najuczciwsze. Ogromne powodzenie Magazynu wypływało z tego umiejętnego wabienia kobiet.

— Ale, ale, — spytała Henryeta, chcąc okazać zupełną swobodę umysłu — a moja protegowana, cóżeś z nią zrobił panie Mouret? Wiesz... panna de Fontenailles.

Zwracając się do pani Marty, dodała:

— Markiza, moja droga; biedna dziewczyna, pogrążona w nędzy.

— Zarabia teraz trzy franki dziennie, zszywając kajeta z próbkami i jak mi się zdaje, wydam ją za jednego z chłopców sklepowych; — odpowiedział Mouret.

— Ależ to okropne! — wykrzyknęła pani de Boves.

Spojrzawszy na nią, dodał głosem spokojnym:

— Dla czego, proszę pani? Czy nie lepiej, żeby poszła za uczciwego chłopca i dobrego robotnika, aniżeliby ją próżniacy porywali z ulicy.

Vallagnosc wdał się w rozmowę, żartując:

— Nie przypieraj go pani do ściany, bo gotów utrzymywać, że wszystkie dawne rody francuzkie, powinny się rzucić do sprzedawania perkalików.

— Dla wielu z nich byłoby to najzacniejszym punktem wyjścia.

Rozmowa ta skończyła się na śmiechu, gdyż paradoks Moureta wydał się zbyt rażącym. On zaś dalej rozwodził się nad tem, co nazywał arystokracyą pracy. Lekki rumieniec okrasił twarz

pani de Boves, którą niedostatek pracowicie ukrywany, doprowadzał do rozpaczy. Pani Marty zaś przeciwnie, potwierdzała to, opanowana wyrzutami sumienia na myśl o swoim biednym mężu. Właśnie w tej chwili lokaj wprowadził profesora, który przyszedł po żonę i wydawał się w swym obcisłym surduciku jeszcze bardziej suchy i zwiędły, wskutek ciężkiej pracy. Złożywszy podziękowanie pani Desforges za to, że przemówiła za nim u ministra, zwrócił na Moureta bojaźliwy wzrok człowieka, który spotyka zło, grożące mu śmiercią. Zmięszał się, gdy tenże zwrócił się doń, mówiąc:

— Prawda panie, że praca doprowadza do wszystkiego?

— Praca i oszczędność; — odpowiedział pan Marty z lekkiem drżeniem całego ciała. Dodaj pan: i oszczędność.

Bouthemont pozostawał nieruchomym na swem krześle. Słowa Moureta dźwięczały mu jeszcze w uszach. Nakoniec podniósł się i powiedział z cicha do Henryety.

— Wie pani, że jak najgrzeczniej zapowiedział mi dymisyę; zje dyabła, jeżeli tego nie pożałuje. Wymyśliłem sobie szyld: *Aux quatre Saisons* i usadowię się w pobliżu Opery.

Patrzyła nań złowróżbnym wyrazem oka.

— Rachuj na mnie, trzymam z panem... Zaczekaj.

Poczem przywołała barona do framugi okna i bez żadnego wstępu, poleciła mu Bouthemonta

jako zucha, który także zgorączkuje Paryż, gdy się urządzi na własną rękę. Kiedy wspomniała o wynalezieniu wspólki, dla swego protegowanego, baron, chociaż się niczemu już nie dziwił, nie mógł ukryć przestrachu. Polecała mu już czwartego młodzieńca, więc się wydawał sobie śmiesznym. Nie odmówił jednakże; myśl o wynalezieniu konkurencyi dla Magazynu Nowości dosyć mu się podobała, umyślił bowiem w interesie bankowym wytwarzać konkurencyę, dla zniechęcenia do niej innych. Prócz tego, bawiła go ta sprawa, obiecał więc zastanowić się nad nią.

— Musimy o tem pomówić wieczorem; — szepnęła Henryeta do ucha Bouthemontowi. Przyjdź pan koło dziewiątej; baron z nami trzyma.

W tej chwili w obszernym tym pokoju rozlegały się głosy. Mouret ciągle stojąc pomiędzy damami, odnalazł cały swój wdzięk; bronił się wesoło od zarzutów, że je rujnuje na gałkanki, podejmował się nawet dowieść czarno na białem, że mu zawdzięczają trzydzieści od sta oszczędności, na każdym sprawunku. Baron spoglądał na niego, znowu pociągnięty bratnią sympatyą starego hulaki. A więc pojedynek skończony — Henryeta została pokonaną i z pewnością nie ona pomści inne. Zdawało mu się, że widzi w przedpokoju profil młodej dziewczyny. Chociaż stała tam tak cierpliwie, ona jedna była groźną, właśnie z powodu swej słodyczy.

Dnia dwudziestego piątego sierpnia zaczęły się roboty około nowej fasady *Bonheur des Dames*. Baron Hartmann, dotrzymując obietnicy, załatwił tę sprawę na ostatniem ogólnem posiedzeniu Kredytu Nieruchomego. Mouret był nareszcie blizkim ziszczenia swych marzeń; ta fasada mająca się wznieść od ulicy Dziesiątego Grudnia, stanowiła niejako rozkwit jego fortuny; dla tego chciał świetnie obchodzić położenie węgielnego kamienia. Urządził uroczystość, rozdawał nagrody subiektom i pannom, a wieczorem częstował ich zwierzyną i szampanem. Wszyscy zauważyli jego dobry humor i zwycięzki ruch, jakim wmurował kamień, jednem uderzeniem kielni. Od kilku tygodni był jakiś niespokojny, podlegał rozdrażnieniu nerwów, które nie zawsze mógł utaić. Tryumf ten przynosił mu ulgę i rozrywkę w cierpieniu. Przez całe popołudnie zdawało się, że odzyskał wesołość towarzyszącą zwykle zdrowiu; ale od chwili kiedy poszedł wypić kieliszek szampana z podwładnymi, zdawał się znów zgorączkowanym, przymuszał się do uśmiechu i na twarzy odbijało się tajone a nurtujące cierpienie, które go znowu opanowało.

Nazajutrz w oddziale konfekcyj, Klarę wzięła ochota zrobić przykrość Dyonizie. Zauważywszy lękliwą miłość Colombana, zamyśliła obrócić w śmieszność rodzinę Baudu; rzekła więc do Małgorzaty, temperującej ołówek, w oczekiwaniu klientek:

— Bierze mnie litość nad wielbicielem moim... nad tym z przeciwka... siedzi w tym ponurym sklepie, gdzie nikt nie wchodzi.

— Nie jest on bardzo nieszczęśliwy, bo się ma żenić z córką swego pryncypała, — odparła Małgorzata.

— Doprawdy! Kiedy tak, chciałabym go odebrać! Słowo daję, zrobię sobię tę zabawkę! — zawołała.

Klara uradowana oburzeniem Dyonizy, ciągle mówiła w podobny sposób; ta zaś wszystko jej wybaczała, ale myśl, że swem okrucieństwem zabije Genowefę, przerażała ją. W tej chwili zjawiła się klientka; a ponieważ w nieobecności pani Aurelii, która zeszła do suteren, Dyoniza objęła zarząd, rzekła więc do Klary:

— Zajmij się panna lepiej tą damą, zamiast rozmawiać.

— Ja wcale nie rozmawiam.

— Proszę milczeć i natychmiast usłużyć tej pani!

Klara czując się poskromioną, uległa. Chociaż Dyoniza objawiała swą wolę nie podnosząc głosu, wszystkie panny jej słuchały. Dzięki swej słodyczy, zapewniła sobie bezwarunkową władzę. Przez niejaką chwilę przechadzała się w milczeniu pomiędzy pannami, z których żadna nie śmiała już żartować. Małgorzata wzięła się znów do temperowania ołówka, kruszącego się ciągle. Ona jedna pochwalała, że się Dyoniza opiera Mouretowi; kręciła głową, nieprzyznawała się do dziec-

ka, któremu dała życie przypadkiem, ale głosiła, że gdyby dziewczęta mogły odgadnąć przykre następstwa lekkomyślności, wolałyby się dobrze prowadzić.

— Gniewasz się? — odezwał się ktoś po za Dyonizą.

Była to Paulina, przechodząca przez oddział. Widziała ona tę scenę i mówiła z cicha, uśmiechając się:

— Trudno tego uniknąć, — odparła Dyoniza zniżając także głos. Nie mogę sobie dać rady z moją dziatwą.

Bieliźniarka wzruszyła ramionami:

— Co znowu! jak zechcesz, będziesz królową nas wszystkich!

Opór przyjaciołki nie przestawał jej dziwić. Wyszła ona w końcu sierpnia za Baugé'go, co wesoło nazywała kapitalnem głupstwem. Straszny Bourdoncle, lekceważył ją odtąd i miał za straconą kobietę dla handlu. Lękała się, żeby ich nie wyrzucono za drzwi, by się tam kochali do woli: ci panowie z dyrekcyi uważali bowiem miłość za rzecz ohydną i zabójczą dla sprzedaży. Obawa jej dochodziła do tego stopnia, że spotkawszy Baugé'go w galeryach, udawała że go nie poznaje. Właśnie tylko co doznała wstrząśnienia, gdyż ojciec Jouve o mało co jej nie schwytał na uczynku, gdy rozmawiała z mężem za stosem ścierek.

— Widzisz, przyszedł aż tu za mną, — dodała, żywo opowiedziawszy Dyonizie tę przygodę. Patrz, jak nas wietrzy swym dużym nosem!

Istotnie, Jouve wychodził z sali koronek, przybrany według przepisu w biały krawat i czyhający na jakie przestępstwo; ale ujrzawszy Dyonizę przeszedł spokojnie, nawet z uprzejmym uśmiechem na twarzy.

— Ocalałam! — szepnęła Paulina. Tobie zawdzięczam, moja droga, że mię nie zaczepił. Słuchaj, gdyby mi co groziło, czy przemówiłabyś za mną? Tak, tak—nie udawaj zadziwienia, wszyscy wiedzą, że mogłabyś, jednem słówkiem, zburzyć dom cały.

Wróciła potem czemprędzej do swego oddziału, a Dyoniza pozostała z twarzą zarumienioną, gdyż zmieszały ją te aluzye przyjaciołki. Czuła zresztą, że tak jest rzeczywiście; z pochlebstw jakiemi ją otaczano, miarkowała swoją potęgę. Pani Aurelia, zastawszy swój oddział w należytym porządku i panny oddane pracy, uśmiechnęła się przyjaźnie do Dyonizy. Bez względu nawet na Moureta, wzmagała się jej przyjaźń, gdyż lada dzień mogła wziąść Dyonizę chętka zostać *starszą*. Zaczynało się jej panowanie.

Jeden tylko Bourdoncle nie dał się zjednać. Z początku powodem skrytej wojny była antypatya dla jej natury; nienawidził ją za słodycz i cichy wdzięk. Prócz tego lękał się jej wpływu, któryby się okazał zgubny dla całego domu, gdyby się jej Mouret dał owładnąć. Miał on to przekonanie, że pryncypał zmarnuje swe komercyjne zdolności skutkiem owego niezdarnego uczucia... Co się zyskało przez kobiety, straci się przez

tę jedną dziewczynę. Jego żadna nie rozpłomieniała; traktował je ze wzgardą człowieka bez namiętności, którego zawodem jest żyć z nich i który stracił ostatnie złudzenia, widząc ich słabość wobec zastawianych sideł w Magazynie. Zamiast się upajać atmosferą siedmdziesięciu tysięcy klientek, sprawiała mu ona nieznośną migrenę: wróciwszy do domu, natychmiast zaczynał bić swe kochanki. Co go najwięcej przerażało w tej dziewczynie, która powoli stawała się tak groźną, to że podejrzewał jej bezinteresowność i szczerość odmowy. Według niego, odgrywała komedyę i to bardzo zręcznie: bo gdyby uległa Mouretowi, pewnoby zapomniał o niej nazajutrz; tymczasem opierając się, podżega żądzę i doprowadza go do szału, a to tak dalece, że zdolny jest popełnić największą niedorzeczność. Najchytrzejsza, najbardziej zepsuta kobieta, niepostąpiłaby inaczej, jak to niewinne dziewczę. Dlatego to, ile razy Bourdoncle zobaczył jej oczy jasne, przejrzyste i czyste, jej twarz z tak słodkim wyrazem, cały układ pełen prostoty, ogarniała go trwoga, jak gdyby widział przed sobą jakiegoś przebranego ludożercę, niezrozumiałą zagadkową kobietę, śmierć w postaci dziewicy. Jakimby sposobem unicestwić taktykę tego obłudnego niewiniątka? o to mu tylko chodziło, żeby podpatrzeć jej wybiegi w nadziei, że je wydobędzie na jaw. Nie wątpił, że ją schwyta kiedy na uczynku, że ją zastanie z którym z kochanków i znowu będzie

wypędzoną, a magazyn zacznie na nowo funkcyonować jak maszyna dobrze uregulowana.

— Czuwaj, panie Jouve—powtarzał Bourdoncle inspektorowi.—Ja pana za to wynagrodzę.

Ale Jouve nie bardzo był skwapliwy, bo znając kobiety, wahał się, czy nie będzie lepiej stanąć po stronie tej dzieweczki, która w niedalekiej przyszłości, może być wszechwładną panią. Nie śmiał się już jej dotknąć, ale upatrywał w niej niewypowiedziany wdzięk. Jego pułkownik zabił się niegdyś dla takiej delikatnej i skromnej dziewczynki—z twarzą nieznaczącą, której jedno spojrzenie podbijało serca.

— Czuwam, czuwam—odpowiadał.—Ale słowo honoru, żem nic nie odkrył.

Jednakże obiegały różne wieści i szkaradne plotki, pomimo pochlebstw i poszanowania, jakich Dyoniza stała się przedmiotem w całym magazynie. Mówiono, że Hutin był kiedyś jej kochankiem; nikt nie śmiał zaręczać, że ten stosunek trwa jeszcze, ale posądzano ich, że się dotąd widują niekiedy; Deloche miał z nią romansować: utrzymywano, że raz wraz schodzą się w ciemnych kątach i godzinami z sobą rozmawiają. Prawdziwy skandal!

— Więc nie ma nic ze starszym od jedwabi i z tym młodzikiem od koronek?

— Nie panie, dotąd nie — zapewniał inspektor.

Bourdoncle liczył najwięcej na to, że zejdzie Dyonizę z Delochem, gdyż pewnego ranka, sam ich widział śmiejących się w antresoli. Tymcza-

sem traktował ją jak równą sobie potęgę, bo już przestał nią pogardzać, czując, że dosyć jest silną, aby jego nawet obalić, pomimo dziesięcioletniej służby, gdyby przegrał sprawę.

— Polecam panu tego młodzieńca od koronek— powtarzał przy każdej sposobności—oni są ciągle razem. Jeżeli ich pan spostrzeżesz, to wezwij mnie; podejmuję się reszty.

Mouret żył jednakże wśród ciągłych udręczeń. Czy podobna, aby to dziecko męczyło go do tego stopnia! Ciągle ją sobie przypominał, jak przyszła pierwszy raz do *Bonheur* w grubych trzewikach, w lichej czarnej sukience, z dziką swą miną. Jąkała się mówiąc, co wszystkich pobudzało do śmiechu. Jemu samemu nawet wydawała się brzydką z początku. Brzydka! a teraz na jedno jej spojrzenie gotów paść na kolana, widział ją w aureoli. Potem zajmowała ostatnie miejsce, odpychaną była i wyśmiewaną; on sam ją traktował jakby osobliwe zwierzątko. Przez ciąg kilku miesięcy, pilnie się przyglądał, jak się rozwija dziewczyna. Badania te bawiły go: nie podejrzewał, że serce bierze w nich wielki udział. Ona zaś powoli rosła, stając się niebezpieczną. Może ją kochał od pierwszej chwili, już wówczas kiedy mu się zdawało, że tylko litość dla niej czuje. Ale świadomy był swego uczucia dopiero od owej wieczornej przechadzki pod kasztanami w Tuileryach. Odtąd zaczął żyć: dźwięczały mu jeszcze w uszach śmiechy gromadki dziewczątek i daleki szmer wodotrysku, podczas gdy ona w ciemnym cieniu

drzew, szła obok niego milcząca. Potem nie zdawał sprawy sobie z niczego, gorączka powiększała się w nim z każdą chwilą; oddał się jej całą mocą krwi, całą swą istotą. Takiemu dziecku, czy to podobna? Gdy przechodziła teraz koło niego, lekki powiew jej sukni wydawał mu się tak silnym, że się chwiał na nogach.

Długi czas walczył z sobą i obecnie nawet oburzał się, chciał się otrząsnąć z tego niedorzecznego opętania. Cóż w niej było takiego, coby go tak dalece przywiązywało? Czyż jej nie widział bez obuwia? Nie przyjąłże jej prawie z litości? Gdyby przynajmniej chodziło o jedną z tych wspaniałych istot, co poruszają tłumy; ale o taką dziewczyninę, takie niepozorne stworzenie! Twarz jej ma wyraz barani, nic nie mówiący. Pewno nie ma nawet żywej inteligencyi, bo niefortunny był jej debiut jako sklepowej. Po każdem takiem gniewnem uniesieniu uległ znowu namiętności i przestraszony był niejako, że śmiał znieważać swoje bóstwo, które ma wszystko, co jest najlepszego w kobiecie: odwagę, wesołość i skromność; z jej słodyczy wydziela się tak subtelny wdzięk, jak zapach kwiatu. Można ją było nie widzieć, ominąć ją nawet jak pierwszą lepszą, lecz wkrótce wdzięk jej oddziaływał powoli, ale silnie, niewidzialnie; jednym uśmiechem przykuwała do siebie na zawsze. Wówczas wszystko się uśmiechało na jej białej twarzyczce: modre oczy, policzki i podbródek pełen dołeczków; ciężkie zaś włosy zdawały się także jaśnieć pięknością królewską

i podbijającą. Czuł, że jest zwyciężony i że ona jest równie inteligentną jak piękną; a inteligencya jej wypływa z najlepszej cząstki jej istoty. Podczas kiedy inne jego sklepowe miały tylko powierzchowną edukacyę, skutkiem ocierania się o ludzi, polor połyskujący zwykle na dziewczętach upadłych, ona wolna od sztucznej wytworności, zachowała naturalny swój wdzięk i powab.— Najnowsze ideje handlowe zradzały się z praktyki pod tem wązkiem czołem, którego czyste linie zapowiadały wolę i zamiłowanie porządku. Złożywszy kornie ręce, byłby ją błagał o przebaczenie za to, że bluźnił w chwilach buntu przeciwko swemu uczuciu.

Ale bo też dlaczego tak mu uporczywie odmawia? Zaklinał ją ze dwadzieścia razy, coraz hojniej chciał obdarzyć, obiecywał pieniądze, dużo pieniędzy. Potem powiedział sobie, że musi być ambitną, zapowiedział więc, że zostanie starszą sklepową. jak tylko zawakuje oddział. Ona jednak ciągle odmawiała! Była to dlań rzecz niezrozumiała, walka podżegająca jego żądze do szału. Zdawało mu się, że takie zdarzenie jest niemożliwe, że się to dziecię musi nakoniec poddać, bo na cnotę kobiety zapatrywał się jako na rzecz względną. Nie widział już przed sobą innego celu; wszystko nikło wobec tego pragnienia, żeby ją miał nareszcie u siebie, siedzącą na jego kolanach i żeby ją całował w same usta. Na myśl o tem, krew mu w żyłach kipiała, trząsł się cały, wzburzony swoją niemocą.

Odtąd spędzał dni pod wpływem tego bolesnego rojenia. Gdy się budził, już miał przed sobą obraz Dyonizy; śnił o niej w nocy; zasiadała z nim przed ogromnem biurem w gabinecie, gdy podpisywał traty i przekazy; czuł ją ciągle przy sobie, spokojnie powtarzającą „nie". O dziesiątej udawał się na sesyę, prawdziwą radę ministrów, gdzie prezydował wobec dwunastu wspólników. Roztrząsano tam kwestye tyczące się porządku wewnętrznego, rozpatrywano zakupy, obmyślano wystawy; a ona zawsze tam była; słyszał jej słodki głos pośród cyfr, widział jasny uśmiech w najbardziej zawiłych pozycyach finansowych. Po sesyi towarzyszyła mu wszędzie; odbywała codzienny przegląd kantorów; po południu wracała do gabinetu dyrekcyjnego, pozostawała przy jego fotelu od drugiej do czwartej, kiedy przyjmował tłumy fabrykantów z całej Francyi, znaczniejszych przemysłowców, bankierów i wynalazców. Był to ciągły przepływ bogactwa i inteligencyi, szalony ruch milionów, szybkie rozmowy, w których załatwiano największe sprawy rynku paryzkiego. Jeżeli na chwilę zapomniał o niej, wyrokując o upadku lub pomyślności jakiej gałęzi przemysłu, odnajdował ją zaraz, stojącą obok niego i rwał się ku niej całem sercem. Głos mu zamierał, zapytywał siebie, co mu po tej fortunie, kiedy ona go niechce. Nakoniec o piątej, gdy musiał podpisywać listy, rozpoczynała się na nowo mechaniczna praca; ona się zjawiała jeszcze silniejsza, porywała go całkiem, by sama nim tylko

władać w samotnych gorączkowych godzinach nocnych. Nazajutrz znowu powtarzało się to samo; następował dzień ruchliwy, zapełniony olbrzymią pracą i zamącany obrazem wątłego dziecka.

Najbardziej czuł swoją niedolę podczas codziennego przeglądu magazynów. Wznieść tak olbrzymią maszynę, królować nad tylu ludźmi i umierać z boleści dla tego, że takie dziewczątko nas niechce! Pogardzał sobą, gorączka go ogarniała, wstydził się że cierpi. W niektóre dni porywał go wstręt do własnej potęgi; doznawał mdłości przechodząc wzdłuż galeryj. Niekiedy znów pragnął rozszerzyć swoje państwo, uczynić je tak wielkiem, że możeby mu się oddała z przestrachu.

Najprzód zatrzymywał się w suterenach przed ślizgawką. Znajdowała się ona zawsze od ulicy Neuve-Saint-Augustin; lecz wypadło ją rozszerzyć; obecnie wyglądała jak łożysko rzeki, po którem fala towarów spływała z łukiem wzburzonych wód. Przybywały one z całego świata; były to szeregi wózków ręcznych ciągnących ze wszystkich dworców kolejowych, nieustające wyładowanie, wodospad skrzyń i pak, ześlizgujących się pod ziemię, pochłanianych przez nienasycone nigdy magazyny. Mouret patrzał na ten potok spływający do niego; myślał o tem, że jest jednym z panów fortuny publicznej, że trzyma w swych rękach losy fabrykacyi francuzkiej, a nie może kupić całusa jednej ze swych sklepowych.

Potem przechodził do służby odbiorczej, która obecnie mieściła się w części interesu, wzdłuż

ulicy Monsigny. Stało tam dwadzieścia stołów wśród bladego światła, przenikającego przez małe okienka. Cała rzesza oficyalistów potrącała się tam, wypróżniając skrzynie, sprawdzając towary, kreśląc na nich cyfry. Po nad wszystkiemi głosami panował nieustanny skrzyp poblizkiej ślizgawki. Naczelnicy oddziału zatrzymywali go; musiał rozwiązywać kwestye i wydawać rozporządzenia. Głębie tej piwnicy napełniały się delikatnym połyskiem atłasów, białością płócien, olbrzymiemi zapasami: futra mieszały się z koronkami, a artykuły paryzkie z wyrobami wschodniemi. Przechodził powoli pomiędzy temi bogactwami rzuconemi bez ładu i piętrzącemi się w stanie pierwotnym. Na górze miały one zająć miejsca na wystawach, wzniecić ruch pieniężny w kantorach, tak prędko porywane jak dostarczane, w szalonym pędzie sprzedaży, przebiegającym dom cały, on zaś myślał o tem, że chciał obdarzyć tę dziewczynę jedwabiami i aksamitem, wszystkiem coby tylko wziąść zapragnęła z tych ogromnych stosów; ale odmówiła lekkiem poruszeniem jasnej swej głowy.

Następnie udawał się na drugi koniec suteren, żeby rzucić okiem na służbę wysyłek na miasto. Ciągnęły się tam korytarze bez końca, oświetlone gazem; na prawo i na lewo, mieściły się zapasy po za drewnianą kratą, stanowiąc jakby podziemny sklep: wstążek, bielizny, rękawiczek i norymberszczyzny, spoczywających w cieniu. Dalej znajdował się jeden z trzech kaloryferów; jeszcze

dalej posterunek straży ogniowej, pilnujący głównego zbiornika gazu, zamkniętego w żelaznej klatce. W sali wysyłek stały stoły zawalone od rana paczkami i pudłami, które się spuszczały nieustannie w koszach. Campion, naczelnik służby, objaśnił go, co się tam robi obecnie, a dwudziestu jego podwładnych układało paczki na półkach, z których każda miała nazwę jakiej dzielnicy Paryża. Chłopcy zabierając je ztamtąd, windowali na górę, by układać potem na wozach, stojących szeregiem wzdłuż chodnika. Słychać było ciągle wołanie, nazwy ulic i różne informacye; panował tam taki zgiełk i ruch jak na pokebocie przed podniesieniem kotwicy. Stał chwilę nieruchomy, patrzał na to wypróżnianie towarów i na wydawanie tych, któremi magazyn tylko co się napełnił w przeciwnym końcu podziemia. — Ogromny pęd tu się kończył i wychodził na ulicę, po złożeniu złota w głębi kas. Oczy mu zachodziły mgłą; ten kolosalny odpływ stracił dlań wartość: zajmowała go tylko myśl o podróży do dalekich krajów, o porzuceniu wszystkiego, jeżeli się ona ciągle upierać będzie przy swojem „nie".

Potem szedł na górę, robiąc dalej przegląd; mówił i gniewał się coraz więcej, nie mogąc się niczem rozerwać. Na drugim piętrze zwiedzał służbę ekspedycyi, szukał powodów do kłótni i zżymał się na widok wzorowego ładu, jaki sam zaprowadził w swej maszynie. Wydział ten przybierał coraz większe znaczenie: obecnie potrzebował dwóchset ludzi, z których jedni otwierali,

czytali, gatunkowali listy przybyłe z prowincyi i z zagranicy, drudzy zaś układali na półkach towary żądane przez korespondentów. Liczba listów tak wzrosła, że zamiast liczyć, ważono je, bywało po sto funtów dziennie. Zgorączkowany przechodził przez trzy sale służby; rozpytywał się naczelnika Levasseura, o wagę ekspedycyi: wynosiła ona osiemdziesiąt funtów, czasami dziewięćdziesiąt, a w poniedziałki dochodzi do stu. Cyfra ta coraz się powiększała, powinien się był cieszyć, ale pozostawał drżący wśród wrzawy i huku ludzi zabijających paki w sąsiedniej sali. Napróżno przebiegał cały dom, *idée fixe* ścigała go ciągle i w miarę jak się jego potęga rozwijała, w miarę jak patrzał na ruch maszyny i całego personelu, czuł jeszcze dotkliwiej upokorzającą niemoc. — Z całej Europy napływały zamówienia; trzeba było oddzielnego wozu pocztowego, by przewozić korespondencyę,—ona zaś mówiła „nie" ciągle „nie."

Schodził na dół, do centralnej kasy, gdzie czterech kasyerów pilnowało dwóch olbrzymich skrzyń, przez które zeszłego roku przeszło osiemdziesiąt osiem milionów. Zaglądał na chwilę do biura sprawdzań faktur, zatrudniającego dwudziestu pięciu najzdolniejszych ludzi. Wstępował do biura defalkacyi, gdzie trzydziestu pięciu młodzieńców poczynających służbę rachunkowości sprawdzało notatki sprzedaży i liczyło procenta dla sprzedających. Wracał do centralnej kasy, burzył się na widok skrzyń i stąpał pośród pieniędzy, których bezużyteczność wprawiałago w szał;

ona zaś wciąż powtarzała „nie" i zawsze „nie". To „nie" brzmiało mu we wszystkich oddziałach, w galeryach sprzedaży, w salach, w magazynach. Wędrował od jedwabi do sukna, od białych towarów do koronek; wstępował na piętra; zatrzymywał się na wiszących mostach, przedłużał swój przegląd ze ścisłością maniacką i bolesną. Składy jego rozrosły się bez miary; stwarzał coraz inne oddziały, rządził tą nową posiadłością, rozszerzał swoje przemysłowe państwo, aż do ostatecznych krańców, lecz ciągle, niezmiernie, słyszał: „nie", tylko „nie". Obecny jego personel mógłby zaludnić całe miasteczko: miał tysiąc pięćset subiektów, tysiąc innych różnego rodzaju oficyalistów, z których czterdziestu inspektorów i siedemdziesięciu kasyerów; w samej kuchni zajętych było trzydziestu dwóch ludzi; liczono piętnastu komisantów przy publikacyach, trzystu pięćdziesięciu chłopców sklepowych, noszących liberyę, dwudziestu czterech ludzi ze straży ogniowej, mieszkających wewnątrz magazynów. W stajniach iście królewskich, przy ulicy Monsigny, naprzeciw magazynów, znajdowało się sto czterdzieści pięć koni i mnóstwo świetnych zaprzęgów, znanych już całemu miastu. Z czterech wozów, które z początku rozwoziły towary, gdy się sklep mieścił na rogu placu Gaillon, powoli urosła liczba sześćdziesięciu dwóch: nie licząc ręcznych wózków, wozów w jednego konia i ciężkich w parę koni. Nieustannie przebiegały one Paryż, kierowane wzorowo przez stangretów w czarnej libe-

ryi, zdobne w błyszczące szyldy ponsowe ze złotem: *Bonheur des Dames*. Przekraczały nawet linie fortyfikacyj, przebiegały przedmieścia; spotykano je na drodze do Bicêtre, wzdłuż wybrzeży Marny i w cienistych lasach Saint - Germain.— Niekiedy z głębi alei oblanej blaskiem słonecznym, z zupełnej pustki i ciszy wynurzał się taki wóz, przejeżdżając pełnym kłusem przepysznych koni, rozwożąc wśród tajemniczego spokoju poważnej natury, jaskrawą reklamę, wypisaną na lakierowanych bokach. Marzył o wysyłaniu ich dalej jeszcze, do sąsiednich departamentów; chciał, by słyszano ich turkot na wszystkich drogach Francyi, od granicy do granicy. Lecz nie wchodził teraz nawet do stajni, aby spojrzeć na konie, za któremi przepadał. Co mu potem zdobyciu świata całego, kiedy w uszach jego ciągle brzmi: „nie", zawsze „nie".

Skoro wieczorem przychodził do kasy Lhomme'a, spoglądał ze zwyczaju tylko na cyfrę dziennego wpływu, zapisaną na karcie, którą kasyer zasadzał na żelaznym haku, obok siebie; rzadko kiedy nie dochodziła do stu tysięcy franków; czasami bywało pięćkroć lub dziewięćkroć sto tysięcy, w czasie wielkich wystaw. Lecz cyfra ta nie brzmiała mu już w uszach odgłosem trąby; żałował, że rzucił na nią okiem i wychodził ztamtąd z goryczą, nienawiścią i ze wzgardą dla pieniędzy.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.